



ODRODZENIE

TYGODNIK

Kedakcja:
Daszyńskiego 16
Administracja:
Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI

Warszawa, dnia 7 sierpnia 1949 r.

Nr 32 (245)

WITOLD ZALEWSKI

CHRZEŚNIACY IDĄ Z NAMI

Wskoczył do wagonu w biegu. Wewnątrz kilka mleczarek dzwoniło pustymi bańkami i piskliwie omawiało swoje handlowe sprawy. Tramwaj podskakiwał na złączeniach szyn. Wypatrzywszy miejsce najbardziej oddalone od zatłuszczonych spódnic, opadł na ławkę. Zapłacił za bilet sennej konduktorce i wyciągnął z niej w końcu, na którym przystanku powinien wysiąść, postanowił te pół godziny jazdy użyć na dalsze przemyślanie problemu. Możliwe monował system przeciwieństw.

„Musiał być jednak wieś” — myślał — „ale wieś, która żyje z miastem...”
— Trzysta złotych zapłacił — gruba mleczarka puszyla się, rozwijając niciane pończochy.
— Gdzieś to dostali — Erzóska?

— Tanió...
— A patrzajcie, co ja kupiłam — młoda dziewczyna błysnęła kwiecistym kretonem.

Więś na przedmieściu — to świetny temat.

Zaczęły mu się marzyć efektywne wieś. W takim bezpośrednim zbliznieniu niezgodą dwóch środowisk musiał wypłynąć na wierzch. Tam wzbierała na pewno aż do ostrej niecierpliwości, do murów, do fabrycznych kominów, do urzędów. Szare brudne miasto, krztuszące się dymem w ciasných ulicach, haczące jak olbrzymi tartak, ze stadem ludzkim, w którym niesposób zapamiętać twarz, przepychającym się jak na przegonie. Zatrzymał się. Może tamci nie zniżają swoich myśli w równie literacki okres, ale sens będzie właśnie ten.

Spojrzał w okno: miały go obrabiane ściany starych robotniczych domów, rysowane ostrym słońcem, a odwarciymi rymszokami spływała brudna ciecz. Samochody na kołach ibrac wystraszyły z podwozi czarne chmury spalin.

— Z pół litrem nie będę latać na czwarcie piętro... — gderała krwista mleczarka od pończoch.
— Ano pewnie — ja już i do drugiego nie dochodzę...
— Ktoży tam chciał... i tak wszystko rozbiórą na parterze...
— Najlepiej po mojemu do sklepow...
— A pewnie — nie tam na facjatkę za 20 złotych męczyć nogi...
— Skończyły się te czasy...
— Wiadomo, że co to — to się skończy...

— Wasz zdal na te kursy — Stalowa?

— A jeszcze nie, dopiero będzie egzaminował po niedzieli...

Pomyślał teraz, jak przedstawia się to drugie podstawowe zagadnienie — odchodzenie młodzieży wiejskiej do miasta. Czy tak, jak przed wojną, ma to charakter przede wszystkim dezerrecji z warstwy chłopskiej, jest ogarnianiem wsi z najzdolniejszych ludzi i tam zostaje ugor, czy może zaczyna się już ekspansja chłopów na miasto, zresztą sens jej dla wsi nie zmienia, dopóki trwa ruch jednokierunkowy ze wsi do miasta, a na odwrot nie. Ale to są sprawy uboczne — rozwijał myśl dalej — bardzo szeroko i ubocznie. Ich własne problemy to zagadnienie nauki i namiastki nauki, wychowania w duchu idealistycznego agrarizmu, penetracja nowych idei. Najpierw trzeba się przekonać, jak wygląda to wszystko.

Signał do swoich notatek. „Współdziałanie wysokowartościowych ludzi, uzależniających wartości życia zbiorowego od swojej osobistej wartości — to cel zespołów wychowawczych, które nazwaliśmy Uniwersytetami Ludowymi...” i dalej „Każda ideologia, każdy ruch społeczny, religijny, naukowy, czy artystyczny — może stworzyć własny Uniwersytet Ludowy. Miarą wartości jego będzie zdolność porozumienia się braterskiego z inną ideologią, ruchem, zespołem, czy innym człowiekiem, wyrażającym ten sam poziom moralny. Nie ma powodu, który by uniemożliwił bliskość i pokrewieństwo między Uniwersytetami Ludowymi i ich wychowankami — że środowiska ideowych i czynnych chrześcijan, komunistów czy demokratów. Uniwersytet Ludowy w ruchu społecznym i w życiu jednostki jest tym, czym w życiu rolnika popołudniem nie niedzielne, poświęcone kontemplowaniu wewnętrznemu, przemyśleniu wzorzących i jutrzejszych czynności: chwila uciśnienia, źródłem syntez, odnowienia i planu...” Przerwał. Potem złożył notatki, schował do teczek i położył tezkę obok na ławkę.

Pisała to Zofia Solarzowa w 1945 r.

Mleczarki patrzyły na niego. Odwrócił się do okna.

W klimacie Uniwersytetów Solarzowych rosła w czasie międzywojennym młoda wieś. Kola młodzieży wiejskiej wystawiały sztuki teatralne z

Szyc albo z Gaci, śpiewano pieśni, ułożone przez Zofię Solarzową (ona jest autorką pięknego hymnu chłopskiego „Błogosławiony chleb ziemi czarnej”), wychowankowie Uniwersytetów Ludowych zasługiwali na szacunek i potrafili zdobywać sobie przyjaźń, nie stronił od pracy społecznej, umieli prowadzić i szli zawsze w awangardzie ruchu ludowego. Przyjęli społeczny i polityczny program wiciowców. Szeroko promieniował urok postaci „chrzesnego” — Ignacego Solarza.

Było to w trzecim roku okupacji na głęboko ukrytej między bezdrożami i piaskami wsi podlaskiej. Zebranie półtajne, zorganizowane przez Kolo Młodzieży Wiejskiej odbywało się uroczyście, niż zwykle. Wśród zgromadzonych znajdował się młody człowiek z gacką krzywą w kłapie marynarki, wychowanek Solarzów. Łącznie dlonie, śpiewano pieśni gackie, łatwo wytwarzano atmosferę zbiorowego uniesienia. Przedownicy uroczyście chcieli ludzi wyrwać na kilka godzin z wojennego kręgu strachu i poniżenia. Udało się. Czy nie była to, jak pisała Zofia Solarzowa, „chwila uciśnienia”? Wieczornica jeszcze się ciągnęła, rozpoczęła tańce, ale kilku młodych chłopów wymknęło się z izby. Tej samej nocy oddział Batalionów Chłopskich, do którego należeli, dokonał udamego zamachu na posterunek żandarmerii w osadzie Adamów. Wieczornica trwała tymczasem, daleko w noc przeciągnęła się „chwila oddalenia od bezpośredniego działania”. To nie znaczy zresztą, myślał przeliszując się wzrokiem po budynkach z szarego piaskowca, przypominających zabudowania folwarczne, że ludzie z UL-ów stali na uboczu w czasie wojny. Przejawnie, większość z nich to tylko brzoła dzielnik w walce, ale wielu nawet przewodził organizacji. W Batalionach Chłopskich, które zbudowane zostały przede wszystkim z kadr wiciowych, byli często najwartościowszym elementem, najofiarniejszym, najgorętszym. A jednak ta wieczornica i ten wyjazd, nastroj pół mistyczny, który panował na zebraniu, mowa „gacka”

łącząc symbolicznie dlonie, śpiewano przed i po posiłkach, śpiewano wieczorami i śpiewano przed snem. Prócz tego śpiew w programie wykładów zajmował kilka godzin tygodniowo. Przedmioty wykładane były w ujęciu historycznym. Po kilka godzin tygodniowo przeznaczono na: historię Polski, historię literatury, dzieje świata, dzieje ziemi. Ale, jak podkreślał Solarz, nie chodziło o dawanie sumy wiadomości; wychowawcy starali się przedstawić rolę człowieka w „tajemniczym procesie przemian”.

— To już B. Niech pan wysiada — poderwał go głos konduktorki.

Przebiegi w popiochu wagon. Wskoczył. Tramwaj oddalał się szybko, zjeżdżając po łagodnej pochyłości wzgórze. Naprzeciwko lasek sosnowy porastał piaszczyste wydmy, tutaj lekko marszczyła się powierzchnia soczycy zielonego zboża, pasmo kwitnących kartofli ożywiało zielen. Otoczył go mocny podszczywy zapach ziemi, zaprawiony aromatem żywic. Cisza przerywana tylko turkotaniem jakiegoś ptaka co parę chwil, nieruchomość tego pola dookoła i ogromna nieogarniona przestrzeń bledki opadającego na horyzont, sploty na człowieka z miasta lekkim spokojem. Czuł, że kiełkują w nim nowe myśli. Z daleka doleciało dzwonięcie tramwaju. Jego żółta plama coraz szybciej malejąca, rozweselała ten cichy widok. Odwrócił się i ruszył w górę szosy. Przed nim kominy przemysłowego miasta zasnuły horyzont.

Skręcił w szeroko otwartą bramę, prowadzącą na puste podwórze folwarczne. Ciężko warcząc i kercząc na bruku, nadjeżdżał czerwony traktor. Z boku stał drugi. Bosonogi człowiek w kombiniezonie właśnie zapuszczał motor.

— Przepaszam, którydy tu do Uniwersytetu Ludowego?

Traktorzysta przeliszł się po nim nieważnym spojrzaniem.

— Prosto, a potem przez park do pałacu — rzucił.

Pani S. jest człowiekiem dużej zasługi. Jej praca w Uniwersytetach

Ludowych przed wojną, to już zamknięty okres. Nie można zaprzeczyć pionierskiej zasługi, jej działalności była budzielska w tamtych czasach. Ale dzisiaj warunki pracy i cele, zadania do osiągnięcia zmieniły się. Rewolucja systemu wychowawczego pani S. nie nadała podobno za tymi zmianami.

Reportażysta stara się najpierw w jej twarzy rozpoznać ślady, które go naprowadzają na trop prawdy. Czyny to dyskretnie, maskując się, a jednocześnie usiłuje błysnąć inteligencją i wzbudzić zaufanie dla swojej sympatii do B. Reportażysta obiecał sam wydobyc prawdę o UL-ach, obojętnie, po myśli informatorów, czy wbrew nim.

Pani S. ma mądre przenikliwe spojrzenie. W zmęczonej twarzy, która postarza jeszcze grymas znużenia, tylko jasne oczy pozostały młode i bystre. Siedząca teraz naprzeciwko siebie jak dwie przeciwniki. Pani S. przy pozorach szczeroci opracowuje w myśli każde zdanie. Uważnie śledzi partnera i reportażysta czuje, że jej znajomość ludzi jest naprawdę doświadczeniach. Zaczyna tracić spokój i pewność siebie. Wie, że w tej psychologicznej rozgrywce jest słabszą stroną. Przenikanie ludzkich zamiarów i myśli — to zawód pani S. Metoda pracy wychowawczej na Uniwersytetach Ludowych polegała przecież na bezpośrednim obcowaniu wychowawcy ze słuchaczem. Na jak najbardziej intymnym, a jednocześnie swobodnym obcowaniu osobowości wychowawcy z słuchaczem. To była jedyna metoda stosowana przez Solarza.

— Nigdy nie byłam wrogiem miasta — mówi pani S. — W ogóle dookoła Uniwersytetów Ludowych weszło do morza nieporozumień. Oskarżanie nas o antyurbanizm... — machniecie ręką.

— Tak samo z tym agraryzmem, personalizmem, albo z egzaltacją, która miała panować w UL-ach...

Nie odpowiedział. Zaraz spostrzegł, że pani S. cofnęła się już do swojej obronnej pozycji. Nie zaatakował jej. Chwilę trwa milczenie. Pani S. nabija tytoń w gilzę. Pokój jest mroczny i prawie pusty. Na ścianie wisiał duży portret meza pani S. z rogiem zasłoniętym kawałkiem czarnej krepy. Pod oknem na małym stoliku leży rozłożony karton i techniczne przybory do kreślenia.

— Ili słuchaczy jest w tym roku?

— Dwadzieścia dwie osoby... Na ubiegłym kursie było ponad czterdzieści — dodaje w UL-ach.

Reportażysta dziwi się. Ale wołi jeszcze nie pytać, dlaczego liczba tak się zmniejsza.

— A wiek?

— Różnie. Ale przeważnie od 17 do 25 lat.

— A młodzież jaka jest?

Znużenie na twarzy pani S. obejmuje teraz jej jasne oczy.

— To już nie ta młodzież, co przed wojną. Ja naprawdę chwilami nie mogę się z nimi porozumieć.

Głos jej zacina się na moment. Reportażysta staje się niespodziewanie świadkiem chwili słabości tej młodej kobiety. Odzywa się w nim współczucie i jakby zażenowanie. Ale pani S. już mówi opanowanym głosem.

— Ogromna różnica nawet z ubiegłym kursem. Teraz rekrutacja na ten kurs odbywała się przez ZMP, Samopomoc Chłopską i różne organizacje społeczne. W rezultacie przyszli tutaj ci, którzy już nie mogli do stać się gdzie indziej. Traktują kurs tylko jako ośdkoźnicę; liczą, że świadectwo stąd pomoże im dostać się gdzie indziej...

Gimnazja chłopskie, szkoły rolnicze, kursy wstępne — dopowiada sobie w myśli reportażysta — pewnie, że mają rację...

— Nie ma w nich tej bezinteresowności, którą miała nasza młodzież przed wojną. Tamci chcieli nadać jakąś barwę swojemu życiu i całej wsi. Na ogólnie nie wyferzali się. A dzisiaj — wszystko przesłania żądza wybić się...

— A jeżeli to jest awans społeczny całej klasy?

Pani S. patrzy uważnie.

— Awans społeczny do czego? Chyba masowe odejście ze wsi, bo na razie wszyscy odchodzą...

Do pokoju wszedł młody człowiek w battledressie. Pani S. przedstawia go reportażystie. — Mój syn... — mówi z nietajonym ciepłem w głosie. Jej oczy stają się znów jasne, kiedy zatrzymuje wzrok na głowie młodzieńca, siadającego przy stoliku kreślarskim.

— Syn uczy się? — pyta reportażysta.

— Tak. Jest na Politechnice — mówi pani S. Nic nie zauważyła. Reportażysta jest z tego nawet zadowolony, ale dziwi się trochę.

Do pokoju wpadają dwaj chłopcy.

— Zygmunutowi jest gorzej! Chrzęsna go zobaczy.

— O mało co nie pobit Ryśka...

— Stołkiem się zamierzyl...

— Zaraz przyjdę — mówi pani S. — Taki zdolny chłopiec — zachorował na rozstrój nerwowy. Co prawda zaraz po przyjeździe był dziwny, jakby zaprzątający jakąś myślą, ale potem przeszło mu to. Przez całą zimę i wiosnę doskonale się spisywał i rozwijał się i nagle jakieś dwa tygodnie temu wrocło to spotegowane do takiego ostrego stanu, że na przykład po całych dniach nie chce jeść, nie odzywa się do nikogo, nie uczy się.

— A lekarz badał go?

— Stwierdził, że jest zdrowy, ale...

— pani S. macha ręką — nie nie umiał poradzić. Chcieliśmy biedaka odesłać do domu, ale był tak przerażony, kiedy mu o tym powiedziałam, że musiałam go zostawić, zdając sobie oczywiście sprawę z odpowiedzialności.

— Na jakim to tle może być?

— Nie wiadomo, nie można trafić na żadną nić, w każdym razie to niezwykle skomplikowana natura.

— A skąd on pochodzi?

— Z krakowskiego. Razem z siostrą mają cztery ha ziemi. Może to domowe historie, kompleks słoty; jego szorstkość jest taką typową



reakcją na brak przyjaźni w świecie. Trochę boje się, czy ta atmosfera nie była dla niego wstrząsem, ta serdeczność, której ostatecznie trochę tutaj znalazł, mogła spowodować wstrząs. Ale jeżeli tak, to to jest chwilowe i w ostateczności wyjdzie mu to na dobre, uczyński z niego człowieka...

Tańczy i śpiewają. Tańce i pieśni śląskie, góralskie, lubelskie, krakowiaki, kujawiaki, trojak, mazur. Te dwadzieścia dwie osoby reprezentują niemal całą Polskę od Śląska po Białostockie. Śpiewają i inscenizują pieśni Zofii Solarzowej. Przeważnie teksty aktualne, doskonale zresztą, o spółdzielczości produkcyjnej, o związku chłopsko-robotniczym, o robotniczej Łodzi. Zespół, który tworzą, wziął pierwszą nagrodę na konkursie zespołów świetlicowych jesienią 48 roku w Warszawie. Śpiewa solista chóru — Janek Obrzut z nowo-sadeckiego. Jego głos wypelnia świetlice, dawny hall warski i, nie mogąc się tutaj zmieścić, tłucze o ściany, aż zdaje się że pękają, jak skorupy. Kiedy Janek miał 12 lat, grał już na wiejskich weselach, ojciec jego jest bezrolny. Ale młody Obrzut nie będzie Jankiem muzykantem. Od nowo roku szkolnego jedzie do konserwatorium, jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Próba skończyła się. Ktoś proponuje tańce. Dziewczęta podnoszą tumult. Przy pianinie sadzają, zapierającego się rękami i nogami, Jasia. Główną atrakcją jest oczywiście dziennikarz. Wszystkie dziewczęta czekają na zaproszenie do polki. Wygrała Kryśka Świączka, która ciągnie dziennikarza, tłumacząc się, że nie umie.

— Ze mną zawsze tak... — wola dziewczyna. — Jak byliśmy w Warszawie na zabawie, to ja tego ministra, tego grubego od rolnictwa...

— Dąb-Kociol... — podpowiadają.

— To ja go też. Też nie umiał...

— Jak się wieś zelektryfikuje i dostanie radio, to zmniejszy się przepięd do miasta... — dorzuca Janek.

— Pewnie, jak będą maszyny... — Maszynami można robić tylko spółdzielczo...

Znowu rozmowa zacięła się. Ktoś otworzył drzwi od gananki i stoi w progu.

— A co myślicie o spółdzielniach produkcyjnych? — zaczyna osroźnie dziennikarz.

Po krótkiej chwili odzywa się Zbyszek:

— My myślimy dobrze, ale po wsiach to gorzej...

— Tak. Starsi ludzie nie wyobrażają sobie życia bez własnego zagona.

— Młodzież jest więcej postępową. Przecież spółdzielcza praca jest lepsza, bo da ludziom większy plon i więcej wolnego czasu...

— Chłop, choćby miał 2 hektary piachu, to jest pan i zdaje mu się, że bez tej ziemi byłby niczym.

— A ja wam powiem — zaczyna Zbyszek — że u nas i starsi już się powoli przekonują. Przedtem to jak tylko powiedzieliś coś o spółdzielni, to się brali do bicia, krzyczeli, że spalą obójście, a nie dadzą. A teraz już nie... Już się zaczęły pytać, a co, ja; na Wielkanoc miałem w domu statut spółdzielni produkcyjnych, to pożyczali ode mnie jeden po drugim i podobało im się, mówili tylko żeby było tak, jak jest napisane.

— Właśnie — przerywa głos dziewczyny. — Zaraz ci powiada: „na urzędników będziemy robić!”

— „Będziem pracować, a oni będą kraść!”

— I bogacze agituja na te żarty. — E tam, to już zasalasz... — A jakże, zasala... — znów głos Zbyszka. — To jest prawda. Takiego antagonizmu biedoty i bogaczy, jak jest teraz, przynajmniej u nas w Zamojskiem, to nie było jeszcze. W czasie wojny to się jeszcze jakoś wyrównały te doły z górami...

— Duże zacofanie jest na wsi... — mówi Maria Meksulówna, więziarka Oświęcimia, najzdolniejsza dziewczyna na kursie. — Moja matka powtarza zawsze: „Odejdiesz z domu, to będziesz stracona dla tego świata i dla tamtego...”

— Tak jak i u nas... — potwierdza ją.

Zbyszek, bechowiec z Zamojszczyzny, śmieje się. — U mnie też. A jak już się ktoś uczy, to już stracony dla wsi...

— A czy nie było tak przed wojną?

Zamyśla się. Racja. Przed wojną, jak szli, to już nie wracali na wieś — przeważnie...

— Miasto wyciągało ze wsi ludzi... — A kto zdobył wykształcenie — to też nie siedział na wsi... Chyba że ksiądz...

— Ksiądz to tak... Księża lubią gospodarować... — śmieje się Zbyszek — duszami — no co?

— A teraz niby inaczej?

— Co takiego?

— Jak kto zdobędzie wykształcenie, to idzie na wieś?

— Nieee...

— Idą, nieprawda, teraz idą więcej, niż przed wojną. Jak są chłopskie gimnazja — zresztą...

— Przed wojną były tylko Uniwersytety Ludowe...

— Co były? Jedna Gać...

— Wieś musi nadgonić miasto — mówi Janek Obrzut — zelektryfikować się, przeprowadzić drogi, radio założyć...

Noc tłumy głosy ciepłym miękkiem powietrzem. Siedzą na betonowych schodach przed ganankiem. Czarna chmura jak nietoperz przemknęła nad świerkami. Uderza falami zapach świeżego siana. Nikt nie mówi i słychać gzyzwanie tramwaju, na niebie błysnął sноп fioletowych iskier elektrycznych. Daleko odezwał się zachrypnięty głos fabrycznej syreny.

— Jak się wieś zelektryfikuje i dostanie radio, to zmniejszy się przepięd do miasta... — dorzuca Janek.

— Pewnie, jak będą maszyny... — Maszynami można robić tylko spółdzielczo...

Znowu rozmowa zacięła się. Ktoś otworzył drzwi od gananki i stoi w progu.

— A co myślicie o spółdzielniach produkcyjnych? — zaczyna osroźnie dziennikarz.

Po krótkiej chwili odzywa się Zbyszek:

— My myślimy dobrze, ale po wsiach to gorzej...

— Tak. Starsi ludzie nie wyobrażają sobie życia bez własnego zagona.

— Młodzież jest więcej postępową. Przecież spółdzielcza praca jest lepsza, bo da ludziom większy plon i więcej wolnego czasu...

— Chłop, choćby miał 2 hektary piachu, to jest pan i zdaje mu się, że bez tej ziemi byłby niczym.

— A ja wam powiem — zaczyna Zbyszek — że u nas i starsi już się powoli przekonują. Przedtem to jak tylko powiedzieliś coś o spółdzielni, to się brali do bicia, krzyczeli, że spalą obójście, a nie dadzą. A teraz już nie... Już się zaczęły pytać, a co, ja; na Wielkanoc miałem w domu statut spółdzielni produkcyjnych, to pożyczali ode mnie jeden po drugim i podobało im się, mówili tylko żeby było tak, jak jest napisane.

goś, kto mu pożyczyl i odbudował się. Biedny, żeby postawić chałupę, musiał chodzić za zarobek do bogatego. A ten z niego ciągnął. Do tej pory biedni są strasznie zadłużeni u bogaczy.

— Wszystko to może i słusze; wala klasowa — dobrze — mówi niespodziewanie pani S. — Ale czy nie popadacie w jednostronność. Zastawicie się, jakże przyczyniły narodziły w chłopach od wieków te ich niezłomne do gospodarki społecznej i to ich ogromne przywiązanie do ziemi...

— To nie jest jednostronność — odzywa się warkliwy głos od g-nku — jak ktoś pozna na własnej skórze taki ból, wtedy wie, co to znaczy... — Zygmun? — dziwi się głos Wandy.

Chłopcy zaprowadzili gościa do pokoju, w którym czeka na niego zastawiane świeżą pościelą łóżko. Ale dziennikarz nie kładzie się. Zasiadł przy stole, obłożył się książkami, wyciągniętymi z tutejszej biblioteczki i chce skonfrontować swoje obserwacje z cudzym doświadczeniem i wiedzą.

„Dezercja z szeregów chłopskich to jest bolączka Uniwersytetu Ludowego, która tkwi nie w nim, ale poza nim. Tkwi ona w tradycyjnej strukturze społeczeństwa polskiego, w podziale na chłopów i na panów, przenikającym niemal wszystkie dziedziiny życia społeczno-kulturalnego, w tradycyjnych wyobrażeniach o kulturze i wiedzy, jako rzeczach pańskiego świata, prowadzących jednostkę zawsze ze wsi, a nigdy na wieś...”

Miasto ekspluatoowało wieś. Przeciwnością antagonistyczną: miastowię jest przecież jedną z podstawowych sprzeczności kapitalizmu. Mieliśmy w Polsce dwie kultury: kulturę miasta i chłopką — ludową, usychającą kulturę wsi. Jaka była rola Uniwersytetu Ludowego w tych warunkach? UL-e jako własny, oryginalny twór chłopski, pomyślany był jako obrona wsi przed ekspansją miejskich treści kulturalnych. Stąd to akcentowanie chłopkości i własnego wyrazu w teorii i w praktyce ekonomicznej. Wieś cierpiąca na do-kuczliwy głód wiedzy. Był on zaspokajany przez miasto w minimalnym stopniu... Uniwersytet Ludowy spełniał więc na tym odcinku rolę do pewnego stopnia zastępując, dając namiastkę nauki. Jak niezaspokojone pozostało jednak to pragnienie wiedzy, nawet u wychowanków UL-ów, świadczy ankieta przeprowadzona wśród nich w r. 1938.

„Na 821 osób — 627 pragnęło kształcić się dalej, a 357 próbowało na różny sposób dostać się do szkoły. W tym celu zwracali się listownie lub osobiście do różnych szkół, czynili starania o stypendia i zapomogli na dalszą naukę, apelując nieraz na własną rękę aż do marszałka Piłsudskiego lub prezydenta Rzplitej...”

Odpowiedzi przedwzrostowych dostojników biuletynu nie podaje. A wszystko to ludzie dorodzi, pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Było to więc nie na żarty tragiczne kolanie o wiedzę. Ale w soczewce Uniwersytetów Ludowych można ujrzyć jeszcze tragiczniejsze sprawy. W tej samej ankiecie uczestnicy opisuja swoje życie po powrocie z Uniwersytetu i odpowiadają na konkretne pytania. Józef Obrebski podzielił je na podstawie tych danych na cztery zasadnicze grupy: „uczniów”, „chłopskiego syna”, „nie-doszłego inteligenta” i „szlachetnie-gospodarnego”. Reprezentant tej ostatniej grupy na pytanie o czytelnictwie odpowiada: „Obecnie rozchodzi mi się najwięcej o pracę, gdyż chcę żyć. Obecnie ubiegam się o pracę w Zakładzie Psychiatrycznym w K., gdzie prosilibym ujęciem o protekcję, później mogę pomyśleć o książkach”. Na pytanie o samokształceniu: „Straciłem chęć do wszystkiego z braku pracy...”

Własne poglądy i spostrzeżenia: „Za najpilniejszego uważam, aby kryzys gospodarczy jak najprędzej minął...” — Ten wychowanek Uniwersytetu Ludowego jest synem komornika. Od dzieciństwa pracował na cudzych gospodarstwach, chwytając jednocześnie gdzie się dalo kęsy wiedzy. Dziś pracuje dorywczo jako parobek, zarabiając 2 zł. tygodniowo. Na zakończenie pisze w ankiecie: „Wszystko ładnie i pięknie — lecz źle się dzieje. Nim ten gruby schudnie, nas już nie będzie...”

Sprawa Zygmunta Orantka została wyswietlona. Tego dnia rano zjawił się na wykładzie historii kultury, podszedł do pani S.: „Chrzestno — powiedział — przepraszam, teraz już wszystko będzie dobrze”. Pani S. ucieszyła się szczerze i uścisknęła mu rękę. Dziennikarz częściowo w rozmowach z chłopcem, częściowo z relacji jego kolegów wykłuskał sens sprawy.

Zygmunt do spółki z siostrą miał 4 ha marnej ziemi na Podkarpaciu. Rodzice ich zginęli w czasie wielkiej powodzi w 1936 r. Odtąd dzieci pa-sały głód, a później krowy u bogatego krewniaka, posiadacza 30-hektarowego gospodarstwa. Opiekun był zupełnie wzdurny, rzadko używał przemienia, nieraz nawet darował chłopcu drobniejsze przewinienia. Kiedy Zygmunt w latach szkolnych zaczął wykazywać wielkie zamiłowanie do książek, krewniak nie wybił z niego kłiem tych skłonności, przeciwnie, mądrym słowem potrafił podtrzymać chłopca w upartym przebijaniu się do wiedzy. O finansowaniu jakichś śmielszych poczyną w rodzaju wyjazdu do gimnazjum w mieście, nie było co prawda mowy. Ale bezinteresowną radą stryja służył zawsze, a umiętę zachęcał podsycał jeszcze ten ogień, który i tak tylił w chłopcu. Kiedy w zeszłym roku Zygmunt osiągnął pełnoletność, stryj

wystąpił nagle z propozycją odkupienia jego gruntu. Moment był, zdawało się, korzystny, zysk dla Zygmunta widoczny — pieniądze umożliwiłyby mu naukę w mieście. Jednocześnie opiekun wyszukał kawalera dla Orantkowej i omówił z nim spłatę działki. Tym sposobem stały się wreszcie posiadaczem ziemi, którą i tak od kilkunastu lat uprawiał, a która wysunięta jak cienkie żądło, wbiła się w jego rdzone gruntu. Tu jednak nastąpiło spieście... Najpierw siostra Zygmunta spręgła się z jakimś hulajcem, a ten ani słysząc nie chciał o odstąpieniu działki. Ale z dziewczyną można sobie było porządzić. Decydujący wpływ na nią miał brat i gdyby on powiedział: sprzedaj — sprzedalaby...

Tymczasem Zygmunt od powrotu z Niemiec wpadł w nurt wpływów stryja i jego kumow. Ręka opiekuna ustawiła go niechętnie do nowej Polski. Chciał się uczyć, ale ponieważ nie krył swojego wrogiego stosunku do organizacji społecznych, nie chciał ich prosić o stypendium na wyjazd do miasta. A opieką stryja w dalszym ciągu kończyła się na świątecznych radach i ideologicznym przewodnictwie. Zygmunt uczył się sam i pracował po staremu na stryja. Ale po-woli, miesiąc po miesiącu, przypatrując się uważnie zmianom, które zachodziły dookoła, słuchając nowo poznanych ludzi i kolegów — Orantek zaczął wymykać się wpływom protektora. Propozycja handlowa stryja padła w momencie, kiedy odrobiliwszy swoje własne stanowisko klasowe, Zygmunt został skierowany przez ZMP na Uniwersytet Ludowy w B. Pieniądze nie były mu potrzebne — nauka i pobyt na uniwersytetach są bezpłatne. Toteż Zygmunt odmówił sprzedaży swojej działki. Stryj poczuł się skrzywdzony jako krewniak taką niewdzięcznością, a rozdrażniona chciwość wzięła na kiel. Wymachując jakimś rachunkami i weksłami ojca Zygmunta, zaczął grozić sądem. Ale była to tylko pusta pogróżka; przedawnione weksle nie miały mocy i szantaż zakończył się porażką chciwca. Wtedy rozwścieczony, całą swoją 60-cio-morgową siłą uderzył w słabszą stronę. Orantkowa właśnie zamierzała wydać się za swojego wybranego. Łatwo wytłumaczyć fakt, że kawaler w ciągu dwóch tygodni zamiaszt z nią, ożenił się z córką stryja. Pięć hektarów dobrego gruntu to nie to, co dwa piasków i kamieni. Zośka Orantkówna boleśnie przeżyła zawód. Cały kram spadł na głowę Zygmunta w momencie, kiedy wyjeżdżał do B. Zrozumiał, że mimowoli stał się sprawcą nieszczęścia siostry. Gniew stryja, nie mogąc osiągnąć go wprost, uderzył rekoszetem. Zygmunt ciężko obraził gospodarza i wyjechał. Sprawa nie skończyła się na tym. Na wiosnę, kiedy Zośka urodziła dziecko, stryj wyrzucił ją z domu. Znalazła miejsce u znajomych. Wtedy właśnie Zygmunt popadł w stan ostrego zderzenia. Z natury skryty i samotnik, nie chciał podzielić się z nikim kłopotami. Sam wolał przetrwać w sobie i rozstrzygnąć ten trudny problem. Przez cały czas pobytu w B. rozwinęły się jego zdolności i ciekawość wiedzy. Zdawało mu się, że odnalazł swoją drogę. Postanowił po skończeniu studiów w B. wstąpić na kurs wstępny przy Uniwersytecie Łódzkim. Tymczasem sprawa siostry stała się planem zdawała się przekreślać. Obowiązek utrzymania jej i dziecka walczył z pragnieniem dalszego marszu naprzód. Wkrótce Zygmunt otrzymał od siostry wiadomość, że trafia się jej praca w mieście. Ale w takim razie co robić z ziemią, czy Zygmunt zamierza wrócić do wsi... I tak pierwszy problem ustąpił drugiemu. Czy porzucić ziemię, zdać ją na obecny stan? Ziemia to też warsztat pracy, jak fabryka, albo kopalnia... Ale jednocześnie coś więcej: źródło życia. Tak — myślał Zygmunt — przyroda jest źródłem życia, ale przecież trzeba jej to życie wydzierać ciężką pracą... Praca ludzka jest ważna. Jego praca wtedy będzie owocna, jeżeli rozwinię na swoje zdolności i potem wykorzysta je na użytek ludziom. Ciągnęły go nauki przyrodnicze. Ale czy potrafił sobie poradzić w mieście i czy tam nie zginie...

Prawda Uniwersytetów Ludowych jest społeczna i klasowa; tak trzeba patrzeć na problem.

Dziennikarz czeka na panią S. w tym samym mrocznym pokoju, w którym zawarł z nią znajomość.

Dzisiaj nie istnieje antagonizm między miastem a wsią. Skończył się tragiczny podział na kulturę pańską i chłopską, tworzy się nowa, jedna kultura klasy pracującej wsi i miasta. Nie darmo Zygmunt Orantek zostanie biologiem, Janek Obrzut artystą-spiewakiem, a Meksu-iówna będzie budowała domy w miastach i wsiach. Nie darmo robotnicy elektryfikują wsię, a Orantkówna pracuje w fabryce włókienniczej. Głód wiedzy, spotęgowany teraz na wsi przestał już być cierpieniem. Zaspakają się go stopniowo, ale coraz szybciej i za niewiele lat przestanie istnieć jako problem. Teraz chłopci mają utworzoną drogę do nauki w mieście przez stypendia, kursy wstępne na uniwersytetach, szkolnictwo zawodowe; ale jeszcze szybciej nadrabiają opóźnienie dzięki gimnazjom chłopskim, szeroko rozbudowanym szkołom rolniczym i tym właśnie, zmodyfikowanym Uniwersytetom Ludowym. W dawnej duńskiej postaci są one dzisiaj przyzwykłym. Wieś potrzebuje rzetelnej, systematycznie podawanej nauki, a nie namiastki, jaką jej dawały dawne UL-e. Szkodliwy byłby ten czas, który przed wojną przyciemniał, choć rozbudzał świadomość młodego chłopca, a dziś mógłby ją już tylko zatrzymać. Dlatego jest miejsce i potrzebne są nowe, o konkretnej treści UL-e, przygotowujące działaczy na różnych polach, wypełniające luki w systemie wychowawczym wsi; ale powinno się zwalczać wszelkie objawy nawraca-

nia do dawnych idealistyczno-mistycznych wzorów grundtwigowskich i innych. Dziennikarz snuje swoje spostrzeżenia.

Do pokoju weszła pani S. Jest zmęczona i wygląda na przygnębioną. Siada ciężko przy stole. Zapada zmierzch; mrók wypełniający pokój zaciera kontury mebli i przez otwarte okno widać ciemniejące niebo przecinane lotem czarnych ptaków — jaskółek, czy języków.

— Jaki jest skład socjalny, kto przeważa na kursie, czy malorolni?

Pani S. odpowiada niechętnie, jakby znużona:

Są sami mało- i bezrolni; jest tylko jedna dziewczyna, której rodzice mają 8 hektarów i to już ją nazywają bogaczką. Oczywiście żartami — dodaje pani S.

— A przed wojną, jak było?

Na wyraźniej twarzą pani S. odbija się jakiś trudny do określenia, w każdym razie ujemne wrażenie.

— Przed wojną to nie było istotne. Ale jeżeli o to chodzi, to było sporo bogatych. — Po chwili dodaje z lekkiem przekąsem: — Ale walki klasowej na terenie UL-ów nie zauważyliśmy.

Dziennikarz nie podejmuje rewizji. Ale w myśli odpowiada: Nie szkodzi, za to była w życiu.

Wszedł syn pani S. Zbiera swoje przybory i wychodzi.

Mrok zgasł, zrobiło się zupełnie szaro w pokoju. Na ścianie bieleje portret męża pani S. Dziennikarz przeprowadza w myśl parabolę, łącząc ojca i syna. Pan S. był inżynierem, miejskim inteligentem, o dużej wrażliwości, wychowanym na „Ludziach bezdomnych”. Drogą Judy-ma poszedł na wieś, zarzuciwszy swoją specjalność, walczył jak Don Kichot, sam jeden o lepszą przyszłość wsi. Był wierny swoim idealom, aż do ostatecznej konsekwencji. Teraz jego syn kreśli plany i chce jako inżynier budować elektrownie tam, gdzie mu wskaże plan państwowy.

Pani S. przeciera znużoną dłonią czoło...

— Jestem zmęczona tym wszystkim, cieszę się tylko — odzywa się — że na wakacje pojedę z synem w kieleckie; syn będzie tam elektryfikował wsię...

Witold Zalewski

GEORGE CHANDES BIDWELL

Rozwój i upadek prasy brytyjskiej

Nadęty balon zakłamania, zwany reklamą, nie mógłby istnieć w obecnych rozmiarach bez współpracy kapitalistycznej prasy.

Prasa kapitalistyczna, której czytelnicy płacą za wiadomości i opinie, oszukuje ich i daje im za ich pieniądze zamiast artykułów, ogłoszenia produktów niepewnej wartości — ogłoszenia grubo opłacane. Za jedną stronę ogłoszenia w niektórych londyńskich dziennikach płaci się ponad tysiąc funtów szterlingów (1.600.000 złotych). Raport Królewskiej Komisji donosi zgodnie z rzeczywistością, że dochody czasopism są uzależnione od ogłoszeń, nie od rozprzedaży nakładu.

Odpowiedź właścicieli dzienników brzmi oczywiście, że czytelnik nie zechce zapłacić za numer czasopisma tyle, ile wynosi jego koszt — co rzucił smutne światło na redakcyjną politykę i administrację. Bezdopowiadanie tego tłumaczenia — które naprawdę dowodzi tylko, że lordowie prasowi nie chcą wyrzucić się swoich olbrzymich zysków — potwierdza fakt, że w krajach demokracji ludowej czasopisma mogą istnieć bez pomocy sponsoberczych reklam i są znacznie tańsze niż dzienniki i periodyki angielskie.

Należy się zastanowić, jak dalece polityka wypaczenia wiadomości jest dyktowana dochodami z ogłoszeń. Pozwól sobie przytoczyć w tej sprawie słowa fachowca z samego świata dziennikarskiego, Kingsleya Martina. Piszę on w roku 1947: „Ogólnie biorąc, można powiedzieć, że czasopisma oparte na zasadzie dochodowości i mające na celu dochodowość, rzadko prowadzą politykę, która jest nieprzyjemna dla ogólnodostawców. Na przykład dziennik, który przyjął komunistyczny, albo chociażby socjalistyczny punkt widzenia w jakiejś sprawie, ma znacznie mniejsze szanse otrzymania ogłoszeń z „City”, aniżeli gazeta o poglądach konserwatywnych. Wynika to z faktu, że czytelnicy o tego rodzaju poglądach rzadko mie-wiąją pieniądze na kupowanie... Tak więc

ogólny wpływ reklam na gazety sprowadza się do tego, że radykalne i lewicowe pi-sma starają się być ostrożne w swych komentarzach, starając się uchodzić z miarę możliwości za mieszczańskie i fa-woryzować wszystko, co zwiększyłoby ich popularność, szczególnie w zamoz-niejszych sferach”. Kingsley Martin podkreśla, że byłoby błędem przypu-szczać, iż właściciele magazynów na West End dyktują telefonicznie redaktorom, jaką ci mają prowadzić politykę. Ale dodaje: „Wielcy businessmeni są przyjaciółmi osobistymi właścicielami dzien-ników, są zainteresowani w powodzeniu pi-sma, mają wspólny światopogląd społeczny i polityczny i wspólne podejście do konsumenta... nie ma między nimi konfliktu interesów”.

Być może, że zmonopolizowanie kapitału w dziennikarstwie miałyby miejsce i bez Northcliffe’a. Ale ponieważ w pierwszy uirzał prasę jako wielkie przedsiębiorstwo dochodowe, a nie jako odpowiedzialną służbę publiczną, jego nazwisko stało się na zawsze symbolem. W Anglii monopol nie jest całkowity, ale trzy grupy: Rothermere (spadkobiercy Northcliffe’a), Beaverbrook i Berry kontrolują szeroką sieć czasopism na terenie Zjednoczonego Królestwa. Oto co mówi Encyklopedia Britannica: „Ocena się iż trzy czwarte pi-sm w Anglii i Szkocji, oraz duża część roz-przedaży, kontrolowana jest przez wielkie korporacje lub miejscowe towarzy-stwa monopolistyczne. Głównym celem trustów prasowych jest uzyskanie dy-widend dla akcjonariuszów. Zdarza-ło się, że trzy lub cztery korporacje o kilkuset tysiącach akcjonariuszy zwa-żczyły się wzajemnie, ale te walki za-zwyczaj kończą się porozumieniem, po-działem terytoriów, umową lub polą-żeniem. Jest bardzo prawdopodobne, że cała prasa Anglii dostanie się pod kontrolę dwóch lub trzech koncernów, działających w porozumieniu”.

Poglądy polityczne, które odpowiadają właścicielom tych koncernów mogą być rozpozwalne dzień po dniu w tu-zinach gazet, których duża część jest dlatego popularna, że nosi dawne, szanowane nazwy. Utrzymanie pi-sma niezależnego, nie ulegającego coraz sil-niejemu naciskowi ze strony wielkiego trustu staje się coraz bardziej i bardziej kosztowne. A możliwości lansowania opi-nii kapitalistycznej jednocześnie wzrastają. Nie trzeba dodawać, że opinia ta jest rzadko w zgodzie z prawdziwym intere-sem olbrzymiej większości czytelników.

Northcliffe zapoczątkował w prasie brytyjskiej okres zgnilizny, która zahamowała jej intelektualny rozwój i obróciła w nicosć wielkie zwycięstwa. Prasa — niegdyś trybuna demokracji — stała się glosem gieldy.

Prawdziwe dziennikarstwo musi być od podstaw demokratyczne. Ale kapita-listyczna prasa współczesnej Wielkiej Brytanii zdradziła piękną tradycję angiel-skiego dziennikarstwa. Za dawnych dni brytyjskie sądy — narzędzie w rękut autokratycznego rządu — przeciwsta-wiały się wypowiedzianiu demokratyczn-ych idei, usławiły słum głos ludu. Wilkes, Bobbett, Carlyle i inni wspot-cześni wypowiedzieli autokratycznemu sądownictwu wojnę, wojnę ostateczną, zwycięską, która umożliwiła na pewien czas wielki i wielkim czasopi-smom głoszenie prawdy. Ale przywileje klas posiadających ukłya nową brzo-nię, jeszcze skuteczniejszą — potęgę pienią-dza. Wykupiono gazety, opanowano rynek, uniemożliwiono, praktycznie bi-urac, wszelką konkurencję. Akcjonariu-sze i potężne, ogłaszające się firmy, których interesy są wspólne, odmówiły swego poparcia gazetom, pragnącym głosić prawdy ekonomiczne i społeczne.

Opinia publiczna w Anglii jest dziś pozbawiona swego rzecznika w prasie. Nieliczne periodyki, niezupełnie skomer-cjalizowane, przejawiające zaintereso-wanie zagadnieniami społecznymi, wy-wierają znaczny wpływ, ale mają bar-dzo ograniczony zasięg i nie są w stanie dotrzeć do szerokich mas społeczeństwa. Daily Worker dokonuje he-roicznych wyczynów, ale nie ma środ-ków na konkurowanie z wielkimi dzien-nikami kapitalistycznymi, bezwzględnie chwytającymi się wszelkich sposobów zwiększania nakładu. Poza takimi ry-cerskimi wyjątkami jak Daily Worker prasa brytyjska jest narkotykiem, i świadomie jako taki jest używana. Dąży ona za pomocą wielostronnych nowin sportowych, szarad i żartywek, to-fografii ledwie odzianych pięknością, in-tymnych szczegółów z procesów rozwo-dowych i spraw kryminalnych — do uspienia dążeń szerokich mas ludu, pragnących wolności i spokoju, za-bezpieczonego życia.

Prasa brytyjska podaje swemu naro-dowi wyłącznie odcienie jednej wiary politycznej, karmi go regulaminie i sy-stematycznie burżuazyjnymi doktrynami ekonomicznymi. Ludzie, którzy zarobi-li na wyzyskiwaniu publiczności tyle pieniędzy, że ich własny byt jest zabez-pieczony, obecnie gardują za wolnym handlem. I muszą tak postępować, aby zahamować postęp socjalizmu, który może powstrzymać wzrost ich nie-prawnych zysków i władzy nad ży-ciem przeciętnego, pracującego człowieka. Dzienniki o poważnej reputacji publikowały ostatnio artykuły o kry-zysie funta szterlinga, udzielając roz-maitych rad. Zalecono doprawdy były wysiłki czynione w celu ratowania pre-siżu i naukowych podstaw zalamują-ciej się struktury gospodarki kapita-listycznej. Pewien „Student of Europe” zupełnie serio pisał we wstępnym artykule prawniczym tygodnika:

„Podczas gdy plan Marshalla musi nadal być kontynuowany, zachodzi obecne konieczność dążenia nie do utrzymania niezawisłości Europy w roku 1952, lecz do systemu zachodniej gospodarki, pomyślnie rozwijającej się po wsze czasy w oparciu o strukturę ekonomiczną Stanów Zjednoczonych”. Wiele jeszcze innych nonsensów zawiera ten artykuł, łącznie z oświadczeniem, że Wielka Brytania nie może unie-siać leźnić się od Stanów Zjednoczonych, ponieważ jej dalsza egzystencja, są-równo polityczna jak i militarna jest ściśle związana z Ameryką!

To chyba wystarczy, by pokazać, jak obecnie prasa Wielkiej Brytanii usiłuje odwrócić uwagę swego narodu od prawdziwych przyczyn katastrofy — kompletnego, gruntownego bankructwa — zasad gospodarki kapitalistycznej, opar-tych na niemoralnym zaleźeniu luksurowego próżniactwa dla niewielu i ciężkiej pracy w niedzy dla szerokiego społeczeństwa. Wymieniony artykuł jasno dowodzi, że prasa brytyjska gotowa jest bez wahania zaprzęcać swój kraj amerykańskimi businessmanom. Tragiczniejszy bezsens tej sytuacji stał się dla mnie jasniejszy, gdy rozmawiając niedawno z pewnym amerykańskim ekonomistą, będącym w podróży po Europie, usłyszałem od niego, że czołowi angielscy ekonomiści są obecnie w rozpaczy z powodu rozwoju kryzysu gospodarczego w Stanach!

W ostatnim tygodniu czerwca br. ogłosiła sprawozdanie ze swoich prac „Królewska Komisja dla zbadania sytuacji prasy brytyjskiej w ciągu ostatnich dwóch lat”. Zatrudnienie tej Komisji kosztowało podatników brytyjskich ponad 21.000 funtów szterlingów (ponad 33 miliony złotych).

Każda prawie z popularnych gazet podała wyciągi i streszczenia z prac tej Komisji w pochlebnym ujęciu dla siebie i dla Northcliffe’izmu, udowadniając w ten sposób — jak powiedział jeden, jedyny samotny głos „Observer” — że „czasopisma posuwają się do podawania niedokładnych wiadomości”. Co dziwniejsze to samo pismo dodało: „Nikt, kto polegał na czasopiśmie, aby poinformować się o przebiegu prac Komisji, nie mógł zgadnąć, że wyniki tych prac były niepochlebne dla naszego zawodu”.

Wyjątek z prac Komisji, na który popularne pi-sma rzuciły się z zachwytem, najczęściej go cytując, brzmiało: „Ogólnie się utrzymuje, że prasa brytyjska nie ustępuje żadnej innej na świecie”. Komisja nie wyjaśnia, czy ocena ta odnosi się do prasy jako do przedsiębiorstwa dochodowego, na pewno nie mogło to bowiem dotyczyć zadań prasy. Tak osławieni wrogowie ludu i rzecznicy przywilejów burżuazji jak Viscount Simon i John Maude, opłacani byli na zmianę przez Sunday Times i Sunday Chronicle, ażeby wy-stawili (przytaczam słowa Maude’a) dys-tyngowane zgromadzenie nań i panów, których praca jest przedmiotem nieniel-kanego podziwu i wdzięczności milionów rodaków”.

Komisja oczywiście nie mogła być bardzo krytyczna, ponieważ powołana była przez burżuazyjne władze i ponie-waż musiała znaleźć odpowiedź na słynne oskarżenie ministra Anserina Bevana, że: „prasa brytyjska w prze-ważnej części prywatna własność milionerów, jest najbardziej prostytutową z się prasą na świecie”. To oświadczenie było jednym z powodów, dla których powołano królewską Komisję.

Ale po czarującej sentencji o wy-szości prasy brytyjskiej dla uradowa-nia serc kapitalistycznych właścicieli, Komisja wydała na świat szereg oświadczeń, mniej głośniejszych rzeczołowski: Komisja udowodniła, przykładem przykłady, że osobiste i polityczne względy często dyktują sposób opisywania sytuacji.

„W rezultacie — brzmi zakończe-nie — obraz jest zawsze wypaczony. A podawanie dzień po dniu zniekształ-conego i nieprawdziwego raportu odni-ma się na psychice czytelnika. W kraj-owych przypadkach wynikiem jest nie-tylko znieprawianie upodobań czytel-nika, lecz również dalsze osłabienie pod-staw zdrowego inteligentnego osądza-nia spraw publicznych”.

Spośród innych krytycznych głosów warto przytoczyć następujący wyjątek z prac Komisji:

„Porażka prasy od strony zaspakala-nia potrzeb społeczeństwa jest przyni-sywana ogólnie prościej przyczynie, niż przedsiębiorstwo, utrzymujące się z roz-przedaży swoich produktów musi daw-wać publiczności to, co ta publiczność zechce kupować”.

Zwracam uwagę na przeciwstawienie „zaspakajanie potrzeb społeczeństwa” i „co publiczność zechce upowować”. Jedno jest jasne, a mianowicie, że mało jest nadziei, aby prasa, kierowa-na przez kilku prywatnych właścicieli w celach zarobkowych, mogła być przekształcona w organ, wyrażający wol-ną wolę mas ludowych. Wielka Bryta-nia, zanim się doczeka lepszej, bardziej obiektywnej, sprawliwskiej prasy mu-si najpierw uzależnić radykalne zmiany w swoim życiu społecznym.

A kiedy wreszcie wielka zmiana na-dejduje, na nagrobku Northcliffe’izmu można będzie jako epitafium umieścić następujące słowa Gorkiego, napisane jeszcze w 1932 roku:

„Prasa europejska zajęta jest przede wszystkim i prawie wyłącznie zadaniam obniżania kulturalnego poziomu swoich czytelników, poziomu i bez tych wysił-ków wystarczająco niskiego”.

George Chan-des Bidwell

Kościół a ruchy wolnościowe czyli Ekskomunika Nr...

Rzym a katolicyzm urzędowy, „Trybuna Ludów” (Nr 3, z 17 marca)

Paryż, 16 marca 1849

Właśnie w imię religii i Kościoła Uni-vers religieux” wszy-scj katolicy urzędowi Francji wzywają inter-wencji europejskiej w sprawach włoskich. Ależ odkąd to Rzym stał się siedliskiem bezbożności? Wszak mamy jeszcze w świę-żej pamięci hymny, które Univers śpiewał na pochwałę rzymian. Podawał nam ten lud za wzór żarliwości religijnej i mądrości politycznej. Jakż to straszny grzech od tego czasu popełnili, że naraz utracili i skarby swych daw-niejszych zasług, i dary łaski, słowem wszy-stko, nawet swoją wiarę?

Oczekując odpowie-dzi na to pytanie, my, katolicy nieurzędowi, sądzimy, że je-dynym grzechem nas-zych braci rzym-skich, tym, który naj-bardziej zgorzylał pa-pieża, święte kolegium, posiadaczy wielkich beneficjów, Uni-vers religieux i jego zwolenników, jest re-publikanizm. Grzech niedopuszczalny! Wy-baczonyby zapewne rzymianom zapomnie-nie obowiązków re-ligijnych; pozwolono-by im swobodnie la-mać dyscyplinę kościelną; znoszonyby, a niekiedy nawet pope-ranoby ich obojęt-ność w rzeczach re-ligijnych; pozwolono-by im głosić ateizm, hyleby w Kwiryna-le nie wymówiono wyrazu Rzeczpospoli-ta, hyleby w papieru usza-nowano jego charak-ter monarchy.

To wystarczyłoby do uspokojenia kar-

dynałów w ich cha-akterze książąt Ko-ścioła co do losu ich dotychczas i ociliby majątki i rodziny wielkich posiadaczy beneficjów kościel-nych. To właśnie w języku katolicyzmu urzędowego nazywa się świetnością Ko-ścioła. Wymaga się od rzymian nie mniej jak tylko poświęce-nia wszystkiego, co w życiu nowoczesnym jest najistotniejsze, po-święcenia swej god-ności ludzkiej i oby-watełskiej, ażeby ca-łopalenie praw i swo-bód wskrzesiło mi-nioną świetność Ko-ścioła.

Według pojęć ka-tołików urzędowych we Francji rzymianie mają być niewolni-kami przykutymi do gleby kościelnej pry-watnych dóbr papie-ża; niechaj więc pra-cują, by żywić jego dwór, niech opłacają jego dyplomatyczną, niech ponoszą wszy-stkie koszty utrzy-mania i naprawy tego Kościoła, który powin-nien być święty! Co się zaś tyczy katolików urzędowych Francji, ich świętym i jedynym obowiązkiem jest podziwianie z daleka tych świętości.

Oto tajemnice te-ologii urzędowej, któ-rych my zgola nie rozumiemy. To, co się dzieje w Rzymie, dowodzi, że tam mało dbają o ich zrozumi-ęcie; wskutek te-go nie ma już w Rzymie ani wiary, ani prawa; pozostaje już tylko głosić woj-nę krzyżową prze-ciwni niewiernym. Idzie o znalezienie armii posiadającej wiarę, wo-dzów prawowitnych i żołnierzy pobożnych!

Zwracają się o to do pobożnej Hiszpanii. Przypominamy sobie

dobrze, że ta poboż-na Hiszpania niedaw-no temu była za-jęta zamknięciem kla-sztorów; wypędzała wstecznych mnichów konfiskowała posiad-łości kościelne, słowem, robiła właśnie to samo, co teraz robi Rzym. Robiła coś gorszego: urzą-dzała polowania na mnichów, paliła klasz-tory, tolerowała rzemie, a są to rzeczy, których we Włoszech nie było ani jednego przy-kładu.

To wszystko wyba-cza się Hiszpanii, za-pomina o wszystkim. Potrzeba kilka okrę-tów i trochę żołnie-rzy hiszpańskich; za-też cenę udzieli się Hiszpanii zupełnego odputu. Zabójcy mnich-ów, powołani do odbudowania władzy miszej, będą popie-rani przez bataliony tej pobożnej Austrii, którą hrabia de Maistre nazwał z imię-ną a te i s t k a, o wiele o-brzydlivszą od z a p a-lonej a te i s t k i, o-wej dawnej Republiki francuskiej, którą bar-dzo de Maistre tak bar-dzo się brzydził. W końcu zwracają się do uczuć pobożnych większości naszego Zgromadzenia Nar-odowego. Osobliwie przy-mierze Francji, Austrii i Hiszpanii, zbroją-cych się wspólnie przeciw diabłu Rewolucji!

Rzecz oczywista, że wobec tego diabła papież jest już bezsil-ny; następca i zastępca JEGO, co przyszedł zgnieść piekło, co jed-ynym słowem zmuszał do ucieczki zastęp du-chów ciemności, pa-pież widzi się bezsil-ny wobec tego du-cha, którego nazywa diabłem Rewolucji.

Mickiewicz pisarz de-mokratyczny. Oprac. Henryk Szyper. War-szawa PZWS, 1949.

*) Józef Obrebski: „Wychowankowie Uniwersytetu Ludowych w życiu wsi” Warszawa 1939.



Warszawa płonie

Warszawa ruin i odbudowy w oczach grafików czeskich



Jaroslav Paur



Jaroslav Paur



Jaromir Jindra



Jaromir Jindra

ADRIAN CZERMIŃSKI

NA SKWAPLIWE KWAPIENIE

Już miesiąc czekamy, słuchamy cierpliwie, a tutaj Kwapiński zapewnia skwapliwie:

Nie kwapcie się zbyt, poczekajcie dzieci, obiecana pomoc skwapliwie nadleci!

I steny, i visy, i prowiant, i słowa skwapliwie na rzuty czekają gotowe,

Kwapiński, Kwapiński! Dalej gadaj a pisz, bo przestaniem wierzyć — że się do nas kwapisz!

„Demokrata“ wrzesień 1944 r.

ROMAN BRATNY

ŻYWA BARYKADA

„Tęgo samego dnia z ruin opery i z wylotu ulic wysypują się na Plac Teatralny trwożliwe gromady kobiet i dzieci, a za nimi posuwają się czołgi i piechota. Kierującą nieszczęśliwych na bramy ratusza a straszliwe salwy dział huczą ponad ich głowami. Wielu powstańców dostrzega swoich. Co robić? Jeden z obrońców w tej gromadzie dostrzegł swoją matkę i siostrę i dostał jakiegoś wstrząsu nerwowego. Oto fragment rozdziału „Żywa barykada“ z powstaniowej relacji Podlewskiego „Przemarsz przez piekło“.

Wyluskiwanie zbójów, ukrytych za plecami bezbronných, nie było rzeczą łatwą nawet dla strzelca wyborowego. Każde drgnięcie ręki spowodować mogło strzał bratobójczy. Publicysta, który chce bić w sprawców gigantycznej intrygi politycznej, kryjących się za dziesiątkami tysięcy wspaniałych śmierci, w tych, którzy z naszego miasta uczynili jedną żywą barykadę, by za jej osłoną zamierzyć się do politycznego ciosu w kierunku organizującego się ludowego rządu — publicysta ten musi mieć — jak ów strzelec powstaniowy — rękę, która nie zdradzi, gdy przyjdzie napisać najgorsze słowa prawdy. Jakże łatwo, chybając w właściwego sprawcę, trafić może w najczystsze serce powstańca.

Publicysta ów powinien być dobrze uzbrojony.

Na skutek spóźnienia się na punkt pierwszego dnia powstania byłem bezbranny. Gdy na drugi dzień przyszło mi bronić w patrolu oficerskim naroznego gmachu wydawało mi się, że jestem uzbrojony bardzo łatwo. Okazało się, że wytrzymałymi długo — 3 granaty była to broń wcale poważna.

Człowiek zastanawiający się nad sensem militarnym i politycznym powstania w pierwszych jego dniach był zupełnie nieuzbrojony — żadnego z pozorów elementu koniecznego do analizy politycznej nie miał jeszcze w ręku. Ale już w czasie trwania powstania, już w czasie poznawania gadzinowej antyradzieckiej akcji części prasy wówczas wydawanej, podczas grzebania swoich kolegów, podczas bitwy ubrajał się w niedoskonałe argumenty, z którymi już mógł zacząć wewnętrzną obronę przeciw propagandzie własnego środowiska. Ta praca młodego inteligenta była ciężka. W okresie dobowym był tresowany w antykomunistycznym drylu przez dom, przez szkołę, przez prasę, jako junak wypał po maturze szanę. „Na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej“ — bo przecież „stamtąd groziło niebezpieczeństwo“. Potem przyszły lata ekowskiej „apolitycznej wojny“. Dla niejednego jednak koncert klasowego rozjuszenia politycznego, jaki dawał się słyszeć w dyktowanej nam Warszawie — „Hej kto Polak na Sowiety“ — przeważał szale. Broń obserwacji i faktów chciała przemówić.

Drugiego dnia po powstaniu — mając owe 3 granaty — publicysta-podchorąży AK pierwszy granat „znarował“, rzucając go w 2 esobowców zamiast czekać na całą grupę, która za chwilę miała dom atakować. W drugą rocznicę powstania publicysta wystrzelał nerwowo argumenty, jakich mu dostarczyła młodzieńcza historia. W artykule z sierpnia 46 roku pisał: „W szeregach idących w milczeniu przed niemiecką generacją, w tysiącach opuszczonych na piersi głów wynosiliśmy do niewoli świadomość tego, że choć za kłeskę płacimy my, odpowiedzialny jest ktoś inny. Kto?“

Nieliczni jedynie wnieśli się już wtedy na ten poziom świadomości politycznej, skąd spojrzeć było można na polityków polskiego Londynu. Wszyscy m-gliśmy z pięter nadwłaściskich gmachów oglądać sowieckie czołgi. Toteż sprawcą kłeski dla wielu była „Moskwa“. Klóz z szeregowej masy miał zdawać sobie sprawę, że już ódkąd stało się wiadome, iż Bug nie będzie mógł stanowić nowej linii niemieckiej obrony, było wiadome, że linia ta stać się miała Wisła. Czy w strategicznych planach dowództwa największego frontu miał się orientować Antek Rozpylacz? Czy ranna w płuca łączniczka ze szpitala na Starówce wołająca nieprzytomnie:

„Czy już przyszli? Prawda, że przyszli już? Już jesteśmy wolni!“

Nasz sąd o samym powstaniu, które jak powiększająca soczewka skupiło wylobrymioną treść naszej ówczesnej rzeczywistości politycznej nie jest sądem udokumentowanym historycznie, naukowo. Nie możemy się powołać na archiwa polityczne, których bodajże nie było, więc i nie będzie. Był to przecież czas, gdy szifr radiowy zastępował korespondencję polityczną, gdy „chwila muzyki polskiej“ nadawana po komunikatach radia londyńskiego przynosiła najważniejsze decyzje w zaszyfrowanych piosenkach. Nie wiem więc, kiedy dołączymy się do opracowań historycznych, o naukowej wartości, ale jestem przekonany, że spatrołowanie podmiemianych uczuciowymi uprzedzeniami terenów powstania jest w pierwszym rzędzie rzeczą zdrowego rozsądku, najmniej do tego powołana jest legenda. Przeszły już do legendy dni i noce powstańczego żołnierza, śmierci i zwycięstwa. Teraz chcemy coś z tego czasu zrozumieć.

My najlepiej wiemy, że powstanie było aktem wojskowym, ale nie umiemy sobie uświadomić, że jak każdy akt wojskowy, było tylko dalszym ciągiem polityki. Wojskowo polityczny kanon zbliżającej się operacji powstańczej stanowiąca nadesłana z Londynu instrukcja „Burza“, która forsowała koncepcję akcji zbrojnej przeciwko Niemcom, politycznej przeciwko ZSRR. Chodziło o to, by AK schwyliło władzę w ręce choćby na pięć minut przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Polityczną koniecznością dla Komendy AK było nieuzgodnienie tej akcji z dowództwem sowieckim, zaskoczenie go nie tyle wojskowym, co politycznym faktem dokonanym. W tych warunkach nie można było liczyć na to, że wzajemny stosunek ułoży się pomyślnie, a w konsekwencji „nie wolno było się spodziewać, że próba stworzenia faktów dokonanych na 5 minut przed 12-tą utrzyma się dłużej niż właśnie do 12-ej.“

Nasze 5 minut przed 12-tą trwało 63 dni i nowej „dwunastej“ nie doczekaliśmy.

Minęły jeszcze 3 lata i sąd o politycznej operacji powstańczej można oprzeć na poważniejszym gruncie. Wbrew przewidywaniom przemówiły archiwa i świadkowie.

Cytuję Podlewskiego: „Himmler rzucił wcióż nowe oddziały pod Warszawę. Wydaje się, że jedynie on docenia niebezpieczeństwo powstania w naszej stolicy i możliwości jego rozszerzenia się na całą Polskę, na zapleczce oddziałów będących w nieustannym odwrocie. Natomiast dowództwo Wehrmachtu zwraca niezbyt wiele uwagi na ten fakt, zahypnotyzowane waleniem się frontu długości 2.000 kilometrów pod naporem Czerwonej Armii.“

Do tych zdań możemy dziś dołączyć choćby znane z procesu Dobożńskiego zeznania tłumacza z konferencji między Szeferem Sztabu AK — płk. Pełczyńskim, a delegatem Abwehry (niemieckiego wywiadu wojskowego) kapitanem Motte.

Wynika z tego, że cel polityczny powstania był na tyle ważny dla obu wysokich umawiających się stron, że można było „zapomnieć“ o niewyrównanych rachunkach. Ze

*) por. J. Kirchmayer „Geneza powstania warszawskiego“.

można było owo jak pisałem w 46 roku: „zbrojne, przeciw Niemcom wymierzone powstanie“ próbować jeszcze asekurować przez porozumienie z Wehrmachtem, który był wówczas penetrowany przez siły polityczne dążące do uzyskania kosztem likwidacji Hitlera wymierzonego przeciw ZSRR sojuszu z mocarstwami Zachodnimi.

Gdy zaś znamy udokumentowaną prawdę, że agentury Akcji „A“ (antykomunistycznej) Delegatury Rządu prowadziły działalność wół jawną, gdy wiemy, że chcąc uzyskać zwolnienie swoich więźniów denuncjowano działaczy komunistycznych do Gestapo wó stałego parytetu 6:1, gdy znamy dobrze w szczegółach tajniki planu „Burza“, gdy wiemy o fakcie, że wybuch powstania nie tylko nie był uzgodniony z dowództwem frontu radzieckiego (że jeśli był uzgodniony z kimkolwiek, to raczej — jak wynikało z zeznań jednego ze świadków w procesie Dobożńskiego — z dowództwem niemieckim tego frontu) — ale nie był awizowany sojusznikom zachodnim, gdy... Po co mnożyć przykłady.

Elementy, którymi dysponuje publicysta, sumują się gwałtownie. Wiemy, czym było powstanie. Pomyślimy, czemu było tym, czym być musiało: gigantyczną, kłeskową w następstwach prowokacją polityczną.

Dla polityków polskich klas posiadających udział Polski w wojnie z Niemcami był właściwie wymuszony przez hitlerowski aneksjonizm. Nie znaczy to, by wojna pojęta jako wojna z Hitlerem oznaczała „rozprawę ideologiczną“. Nie, była wojną z tymi formami imperializmu, które już i „naszej“ klasie posiadającej nie dawały żyć, była wojną z krańcowościami obcego imperializmu, który chciał nas zamienić w Murzynów, zamiast „inteligentnie“ umiarkowanie urobić z nas kraj półkolonialny, zostawiając pewnej klasie „krajowców“ względnie intratną funkcję poganiaczy niewolników.

„Oficjalna“ konspiracja londyńska była wykładnikiem tej wersji łagodne wojny — wojny z organizacjami realizującymi ten nie do przyjęcia plan, z policją, z Gestapo. Żołnierz akowskiej dywersji walcząc z tymi właśnie — najgroźniejszymi w sensie „sportlowo“ — bojowym przeciwnikami mógł być dumny z patosu swego boju. Nie mógł znać rachunku, jaki stawał przed narodem do wypłacenia — rachunku okupacji przedłużającej się na skutek ograniczonych form walki na zapleczu frontu wschodniego. Polskie klasy posiadające i ich politycy forsują „teorię dwóch wrogów“ w istocie nie chcieli w żadnej formie uznać kompromisu tylko z jednym z „wrogów“ — ze Związkiem Radzieckim. Formą resztkowej monarchijskiej była polityka kierownictwa AK niewiązania się w pełną walkę bezpośrednią z wrogiem niemieckim, któremu „szyny na wschód należałoby smarować masłem“. Nie zmieniają postaci rzeczy sporadyczne akcje dywersyjne „na pociąg“, które potem stają się eksportowym łupem propagandowym. „Trzeci front“ na zapleczu armii niemieckiej powstaje jeszcze moźolniej niż drugi — na Zachodzie Europy. Linia władz konspiracyjnych jest jasna. To jest ta sama linia, której przedłużenie powojenne dla resztek emigracyjnych rozbitków stanowi służba w wywiadzie „anglosaskim“, którym kieruje

gen. Guderian. Ten sam, który w okresie powstania oznajmił: „w stosunku do Warszawy zostanie następnie z całą surowością wykonany wyrok“. Warszawa wstaje. „Wyrok“ usiłują teraz wykonać wspólnie Niemcy i „polscy“ mąciiele pokoju, służący zgodnie amerykańskiemu imperializmowi.

Ala obok tych recydywistów błędów politycznych całej naszej przeszłości byli i inni. W okresie bezpośrednio powstaniowym przysłowie „mądry Polak po szkodziu“ okazało się zbyt optymistyczne. W pierwszym roku po powstaniu zdarzali się jeszcze patrioci — ludzie, którym — znając ich intencje — podam rękę wobec każdego trybunału, tak jak znając ich działalność podpisałbym na nich tą ręką surowy wyrok — ludzie, którzy kontynuowali polityczny błąd swej przeszłości.

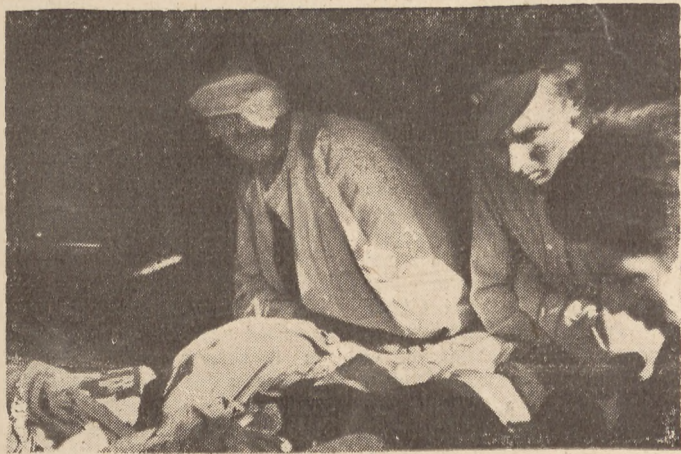
Nie lekajmy się mocnych słów. Lekajmy się tylko spraw nieomówionych. Taka działalność polityczna służyła tylko antypatriotycznej klasie. — Tak jak nasza patriotyczna, nikt tego nie chce i nie śmie zaprzeczać, walka w powstańczej Warszawie miała im służyć.

Łatwo było nas pchnąć na barykady — byliśmy chowani przez lata „wojskowi“, szkoły uczące o apolityczności wojska, by tym łatwiej można go było do ciemnych politycznych celów użyć. Klasa, której politycy rządili londyńską konspiracją nie mogła o swych celach politycznych — mówić wprost — bo na tym etapie historii już tylko cele klasy robotniczej zbiegają się idealnie z celami narodu — jego potęgi, kultury, dobrobytu.

Chowani w takiej właśnie politycznej szkole „apolityczności“, zahartowani w akcjach dywersyjnych, czy tylko z mordowani śmiertelnie czekaniem na znak w konspiracji kadrowej przyjęli hasło jako znak, że nadszedł nasz największy dzień. Widzieli kolo siebie walczących Ałowców, nie byli w stanie zrozumieć, że na tej samej ulicy, przeciw temu samemu wrogowi walczą oto o inne Polski. Ze tamci przyszli do powstania, by jak najprędzej demonstrację polityczną obrócić w sukces militarny frontu antyniemieckiego. Ginełi wspaniale — setkami, tysiącami. Gdyby im ktoś wówczas powieiedział, że walczą o to, by wzmocnić, by zapewnić rządzą jakiejs klasy w Polsce — tego, który by to mówił zastrzeliliby bez wahania, z czystym sumieniem. Walczyliśmy o wolną Polskę — nami walczono o Polskę starego ucisku klasowego. Walczyli o wolność i szczęście ludu Warszawy — widziałem jak ludzie płakali ze szczęścia na widok biało-czerwonej opaski — walczyliśmy nie po to by wołano do nas — jak w dniach kapitulacji najpierw Starówki potem Warszawy: „Zbrodniarze! Sprawcy naszych nieszczęść i naszych cierpień. Mordercy naszych dzieci!“ — (cytuje za Podlewskim).

Chłopcy z barykad szli jak kamienie przez zdradę rzucane na szaniec. (Przez zdradę — bo zdrada było robienie z Warszawy podwórka łądowiska dla londyńskiego rządu — zdradą interesów narodu). Gdy ktoś miał rękę strzaskaną niemiecką kulą, gdy ktoś widział jak umiera bliski mu człowiek z brzuchem popruty odłamkami niemieckiego granatu — to ten ktoś nie mógł mieć pola widzenia szerszego, w którym by dostrzegł rękę polityków czyniących z nas żywą barykadę przeciw lubelskiemu manifestowi, barykadę, za którą zamaskowany biało-czerwona flagą skradła się interes zbankrutowanej klasy.

Publicysta, którego wspomnienia wciągają w ten czas, który wie, że w powstaniu został wszystkich niemal przyjaciół z czasów kiedy męskie braterstwo hartowało związki między ludźmi i dawało im niezwykłą siłę — publicysta ten nie waha się dziś nazwać rzeczy po imieniu. Chodzi mi tylko o to, by bijąc w czarną siłę, która mu zamordowała w powstaniu kilku najbliższych przyjaciół, kilkanaście tysięcy towarzyszy broni, kilkaset tysięcy rodaków — Niemcy byli tylko katem, wyrok wydał nasi „ideowi“ politycy — by bijąc w tę siłę nie zranic któregoś z czystych powstańców serc. Bo w nich była Polska.



Powstańcy warszawscy

Roman Bratny

WINCENY WERESAJEW

Wspomnienia

W pobliżu naszego domu, przecinając Wierchnie-Dworińską, przechodziła ulica Staro-Dworińska...

Chuda, z psią twarzą, ale nie ptasiimi, powolnymi, dostojnymi ruchami. Była nauczycielką muzyki, uczyła się u niej moje siostry i wszystkie znajome panienki...

Domem stał na krańcu śródmieścia. Tu kończył się na Staro-Dworińskiej bruk, kończył się oświetlenie. Dalej ulica była zarosnięta zielskiem...

Ciągle miała kłopoty. Zawsze znajdowała jakąś biedną rodzinę, którą trzeba było wyżywić, bardzo nieszczęśliwego człowieka, którego trzeba było gdzieś umieścić...

Domem babci i wszystkie zabudowania na podwórzu były bardzo stare. Szare, prawie czarne od starości deski pokrzyżowały się z biegiem czasu...

Niedola bliźniego nie dawała jej spokoju, nie dawała życia. A nawet jeszcze nie to: do zaspokojenia żądzy niesienia pomocy ciągnęło ją z tą samą nieodpartą siłą...

Babcia była suchą staruszką o poważnej twarzy z zapadniętymi ustami, o wyrazie promiennym, jakim nieraz jaśnieją twarze starców...

— Proszę mi pożyczyci dwadzieścia rubli. Za trzy dni zapłacę mi w parafialnej szkole żeńskiej, to oddam.

— Dobrze! Tylko proszę pamiętać, że pożyczam na trzy dni. Jeżeli nie otrzymam z powrotem, znajdę się w położeniu bez wyjścia.

— Oddam, oczywiście!

I to najpoważniej w świecie. Długo potem wszyscy z rozwinięciem wspominali, jak to babcia przeproszała synów za to, że nie umarła.

I nie oddawała. Nie dlatego, że nie miała zamiaru, po prostu pieniędzy nie mogła dnieć. Po drodze napotykała nową niedolę — i dawała komu innemu...

Była do głębi dobra, wszystkiego sobie odmawiała i dopomagała wszystkim innym wokół. W suterenie domku i w obyciu na podwórku mieszkała biedota...

Ciocia Anna z palającym wzrokiem oznajmiła, że założyłaby... kasę pożyczkową. Wszyscy się zdumielą, a ciocia Anna z zapalem zaczęła dowodzić...

Służba babci rekrutowała się nie spośród tych, którzy znali swą pracę, lecz spośród bardzo nieszczęśliwych...

Wszyscy się zdumielą, a ciocia Anna z zapalem zaczęła dowodzić, że by było to wielkim dobrodziejstwem dla biedaków, gdyby mogli otrzymywać pożyczki...

Była do głębi dobra, wszystkiego sobie odmawiała i dopomagała wszystkim innym wokół. W suterenie domku i w obyciu na podwórku mieszkała biedota...

Pod koniec życia ciocia Anna cierpiała wielką biedę w swoim domku, zapadającym w coraz większą ruinę.

Stróżem był glupkowaty Pietienka. Miał około czterdziestu lat, rzadką czarną brodkę, spadziste wysokie czoło, potwornie wystające nad twarzą...

Pod koniec życia ciocia Anna cierpiała wielką biedę w swoim domku, zapadającym w coraz większą ruinę. Szopa groziła zawaleniem, przegniłe belki ledwo się trzymały...

Pewnego razu Piotr, mąż Katii, będąc pijany, długo i okrutnie ją bił, po czym siedząc w kuchni zasnął z głową opartą na stole...

Przyznając, że wcale mnie to nie radowało. Wincynty Weresajew

— Jakże to tak, Pietienka? Ty — mamy, on — duży i ślony, a ty raptem w niego polanem? Mógł cię zabić!

Pietienka swoim mamrocącym nosowym głosem opowiadał wszystkim: Babcia mi powiedziała: on duży, a ty miałym polanem chciales go zabić...

— Babcia mi powiedziała: on duży, a ty miałym polanem chciales go zabić. Większe trzeba było wziąć!

Dobroć babci była bezpośrednio i rozczulająca. Dobroć zaś mieszkającej z nią cioci Anny nie miała granic i raczej drażniła.

Oto światobliwa niewiasta, która umierając z pewnością modliła się o jedno: żeby w piekle wyznaczono jej miejsce nie zanadto gorące...

JFRZY BROSKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

Cóż jest miłość? Kształtem jest miłość.



7)

Jesienią poczęły się zdarzać fakty, nagła do wniosków. Fryderyk dostał do przepracowania koncert Hummela, dwie sonaty Beethovena...

A zatem przeprowadźmy rachunek sumienia. Rachunek w tym mniej więcej sensie: kto komu i co zawdzięcza?

A więc: Fryderyk zawdzięcza mistrzowi odkrycie Bacha, Mozarta i Handla. Uczyl się od niego pierwszych tajemnic palcowania...

Pan Wojciech rachuje swe sumienie na palcach. Uważnie przygląda się dłońi o rozstawionych pięciu palcach punktujących jego zasługi...

Coż zaś maestro zawdzięcza swemu uczniowi? Wiemy — druga muzyczna młodzież, wiele szczęścia i radości...

Maestro umiecha się po to, by znów spojmuścić. „Jego dłoń” jest zawarta — więc nieważna. „Dłoni Frycka” brakuje palców...

Rektor Linde chciał parsknąć śmiechem, bo wydalo mu się, że pora na nowy dowcip. Spojrzal na Żywnego — twarz mu zastyla w samych początkach śmiechu...

Pożegnali się. Lepiej rozejść się do domów, niż patrzeć w krótką przyszłość. Maestro podnosi kołnierz...

Goście wyszli i w salonie już tylko trzech najbliższych swym sercem przyjaciół szący ostatnie flaszki węgryzyna.

6 grudnia późnym wieczorem znów sypie śnieg: na kwaterach szybko osiadają białe kąty i cała noc poczyna nasycać się bielą.



Saint Nicolas przyniósł dzieciom prezenty, profesorowi Mikolajowi gości, a Papię Mikolajowi piękne laurki, powinszowania, węgryzyna od przyjaciół...

Teraz późna już pora wraz z wypitym węgryznem cięża na powiekach. W głowach trochę się kołuje, maci — i dlatego właśnie godzina jest tak miła...

cyję zasadniczą: nie będzie już więcej udziału lekcji Fryckowi. Na zdumienie profesora odpowiedział aforytycznie — że trochę śmieśniewnie...

Nadzieje, dumy i troski

Wiek XVIII naplodził „miłośników wolności” co nie miara — farbowanych lisów i wilków, na kopy. Mowa oczywiście nie o dziesiątkach i setkach tysięcy...

Ale wiemy też, że pod laskawym protektorem „Mesyasa liberalizmu” Nowosilow w Różnieckim w Warszawie a Beckendorf w Petersburgu zajęli się organizacją tajnej policji...

Wszystko to jeden szablon — Wilhelmy Aleksandry, Nowosilow i Mackrot. Ani pana po sługach, ani sług po panu rozpoznać nie trudno...

Nikt jednak nie potrafi ułowić się od przyszłości, od myśli o niej. Panu Mikolajowi przypomniał ją — jedyny syn, można trochę w piekło machnąć...



koniecznie trzeba mieć Arystotelesa za mistrza”. A Genio Skrodzki, który sporo nabrał w czas lekcji olówek...

maestra Wojciecha — on sam fuczy jeszcze przez nos z solennym wyrazem twarzy, który to solenny wyraz z reguły dodaje dowcipu pointom.

— Otóż nie — my udziału w owej ironii nie wzięliśmy. Każdemu należy się właściwy udział dobru i wspomnień, każdemu według zasług i zdolności i naszej własnej przyjaźni do człowieka...

Tu dygresja: o znanych powszechnie właściwościach wina. Wino podbija dowcip jak piłkę, filozoficzne koncepcje wyostrza w helkotaniu pomaga, a z megalaniami nie leczy...

— Starzyśny są.

Michajłowskim Zamku stwarza nowego cara — Aleksandra, stwarza także nowego Nowosilowa: senatora, szambelana, kuratora, radcę tajnego...

Królestwo jest sprawą szczególną w gi. Mikolaj Mikolajewicz, komisarz Najjaśniejszego Pana ceni sobie Królestwo — źródło władzy i dochodów...

Równocześnie jednak aktor z senatora znakomity — początkowo nikt nie rozpoznał pod liberalną i humanitarną farbą wilka, i dopiero około 1820 roku...

Trzeba przyznać, że dobrali się do wszyscy: Wielki Książę, Senator, Namiestnik gen. Zajacek, Dyrektor Polityki gen. Różniecki, Prezydent Szambelanski...

Warto jeszcze wyjaśnić, że nie tylko ci ojcowie Królestwa dobrze się dobruili. Poznali się na sobie też pięknie, Różnieckiego śledziła z ramienia Konstantego Pawłowicza kontrolniaczka Schleya...

Wiek XVIII naplodził „miłośników wolności” co nie miara — farbowanych lisów i wilków, na kopy. Mowa oczywiście nie o dziesiątkach i setkach tysięcy...

Wiek XVIII naplodził „miłośników wolności” co nie miara — farbowanych lisów i wilków, na kopy. Mowa oczywiście nie o dziesiątkach i setkach tysięcy...

Wiek XVIII naplodził „miłośników wolności” co nie miara — farbowanych lisów i wilków, na kopy. Mowa oczywiście nie o dziesiątkach i setkach tysięcy...

Wiek XVIII naplodził „miłośników wolności” co nie miara — farbowanych lisów i wilków, na kopy. Mowa oczywiście nie o dziesiątkach i setkach tysięcy...

Mimochodem O KOLEJARZACH

ANANIASZ ZAJĄCZKOWSKI

Orientalistyka czechosłowacka w nauce i literaturze

(z okazji Kongresu Orientalistycznego w Pradze)

Gdy blisko przed rokiem wspominałem na tym miejscu o potrzebie zwołania kongresu orientalistów w jednym z krajów słowiańskich (patrz sprawozdanie z międzynarodowego zjazdu w Paryżu, „Odrodzenie”, Nr 42 z r. 1948), nie sądziłem, że inicja-

europiejskich. Nazwiska uczonych powszechnie znanych w świecie naukowym, tej miary co — dyrektor Wyższej Szkoły Żywych Języków Wschodnich w Paryżu, H. Massé, rektor Uniwersytetu w Budapeszcie, Gyula Németh, słynny iranista V. Minorsky

z wyjątkowo wysokich nakładów. Należy się więc tym pracom baczniejsza uwaga ze strony także naszych kół czytelniczych.

Przebieg prac naukowych orientalistów czechosłowackich trzeba zacząć bezspornie od właściwego założyciela Urzędu Orientalnego w Pradze, prof. B. Hrozneho. Bedrich Hrozny, dawny rektor Uniwersytetu Karola w Pradze, członek wielu Akademii i Towarzystw naukowych, który właśnie tego roku obchodzi 70-ciolecie swych urodzin, jest bodajże najslawniejszym uczonym humanistą Czechosłowacji, jest „czeskim Champolionem”, jak słusznie go nazywał jeden z mówców na kongresie. Tak bowiem jak sławny Francuz przed wiekiem rozgłosił swe imię dzięki odcyrowaniu hieroglifów egipskich — tak i B. Hrozny wysiłkiem genialnej intuicji odczytał znaki pisma hetyckiego i stworzył w ten sposób podwaliny nauki tego języka, stanowiącego jedno z najważniejszych źródeł do dzieł Wschodu Starożytnego, szczególnie Azji Mniejszej w okresie sprzed dwóch lat przed naszą erą. Dowodem zainteresowania, jakie odkrycia prof. Hrozneho wywołały w całym świecie naukowym, może być choćby taki tylko fakt, że na zaproszenie najpoważniejszych uniwersytetów oraz akademii odbył w latach 1928—38 podróże do kilkunastu ośrodków uniwersyteckich za granicą, wygłaszając blisko 60 wykładów i odczytów na temat hieroglifów hetyckich. W r. 1936, na zaproszenie Związku Radzieckiego zwziął „pięć republik sowieckich”, jak opisał to w obszernym raporcie w wydawnictwie „Prah — Moskwa” (także po rosyjsku w Westniku DREWnej Historii pt. „W pjanii sowieckich republikach”). B. Hrozny był również dwukrotnie polskim gościem: w r. 1929 na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz w r. 1935 w Instytucie Orientalistycznym U. W. w Warszawie.

Najnowsza praca Hrozneho o starożytnych dziejach Azji Przedniej, Indii i Krety, ukazała się w trzech językach (po czesku, francusku i niemiecku), łącznie w siedmiu wydaniach w ciągu kilku lat.

daczem Indii. Przed rokiem ukazała się jego wspaniała monografia o buddyzmie pt. „Buddhismus”, która jest pierwszą próbą czechską przedstawienia tak ważnego problemu religioznawczego w formie przystępnej, a jednocześnie w oparciu o najnowsze zdobycze nauki (autor wielokrotnie cytuje m. i. naszego indjanistę s. p. St. Schayera i jego błyskotliwe studia o filozofii buddyjskiej).

Badanie kultur i języków Wschodu Muzułmańskiego ma w Czechosłowacji może najdawniejsze tradycje. Pierwszym archeologiem — orientalistą, prowadzącym swe prace w terenie w Arabii oraz Transjordanii był słynny uczony czechosłowacki, turkolog Jan Rypka. Szczególnie dwa ostatnie prowadzą żywioną działalność w zakresie przekładów z literatury arabskiej i perskiej. W swym dążeniu — jakże słusznym — do przyswojenia ojczystej literaturze arcydzieł piśmiennictwa orientального, prof. Jan Rypka, sam nie tylko znawca, ale i wrażliwy odbiorca doznał estetycznych, jak można wnioskować z jego opisu podróży do Persji („Arabský poutník, Praha 1946) zdobył się na niezwykle ciekawy eksperyment. Tłumaczy ciekawą perską z epiką o o, przy czynnej współpracy najwybitniejszych poetów czeskich.



Posazek indyjski (zbiory muzeum w Pradze)

Przebogato wydane, stojące na niezwykle wysokim poziomie techniki edytorskiej, ozdobione rozkosznymi barwnymi ilustracjami, naśladującymi styl miniatur perskich, tłumaczenie słynnego poematu Nizamięgo, pt. „Heft pejar, (Siedem obrazów siedmiu księżniczek), opracował, jak głosi podtytuł książki „Sedm princezen, Jak Rypka łącznie „s kruhem baswických spolupracovníkov”.

Sprawa zespolenia tak potrzebnej



Ilustracja Fialy do „Bajek w tysiąca i jednej nocy”

Obok dziedziny starożytności Wschodu, w której ponadto wybijają się na czoło gruntowne prace znakomitego egiptologa czechosłowackiego Franciszka Lexy, dwie grupy studiów orientalistycznych produkują w Czechosłowacji: indianistyka oraz islamistyka. Obecny dyrektor Urzędu Orientalnego w Pradze oraz przewodniczący Kongresu, nasz wyjątkowo serdeczny i najmlodszy gospodarz, prof. Vincenc Lesny jest właśnie ba-

przy przekładach z języków obcych, a zwłaszcza orientalnych, gruntowniejszej znajomości (nie „łatwej”) samego języka oraz realiów, wymagających długiego obcowania z danym obszarem kulturalnym, a jednocześnie d a r u poetyckiego, była niejednokrotnie omawiana wśród literatów i naukowców. Przeważnie wybierano łatwiejszą drogę, albo niezbyt dokładną a poetycki przekład, raczej przybliżony, albo też ściśle filologiczne tłumaczenie, w którym zacierali się lub zgola ginęły wartości artystyczne utworu. O kongenialny przekład, który by zadość uczynił obydwu tym wymaganiom, bywa — jak wiadomo — niezwykle trudno. W literaturze polskiej — wspomnę dla przykładu — doczekaliśmy się dotychczas zaledwie jednej takiej

Można by tak długo wymieniać wydawnicze pozycje czeskie z zakresu literatury orientальной. Należałoby w pierwszym rzędzie jeszcze wspomnieć o bogatej puściźnie literackiej znawcy Dalekiego Wschodu, prof. Pruska. Jego książki o Chinach biją rekordowe nakłady 80.000 egz. i ukazują się w kilku nakładach. Ostatnio J. Pruszek przy współpracy z p. Krebsową opublikował przekład utworów nowoczesnego pisarza chińskiego, Gorkija Chin, Lu Hsuna, pt. „Rodzinna wieś”.

Sam krótki rejestr wydarzeń na polu orientalistyki czechosłowackiej — ujęty poza działalnością ściśle naukową i to tylko w ciągu ostatnich lat — dowodzi niezwyklej żywotności i prężności tej gałęzi wiedzy.

A więc wymieniamy pokrótce: założenie Towarzystwa Rozwoju Stosunków Kulturalnych i Gospodarczych z Orientem (prezsem Tow. jest prof. B. Hrozny, wiceprezesami — minister oświaty prof. Nejedlý i minister informacji Kopecky), wydawanie wspaniale ilustrowanego, na wysokim poziomie popularyzatorskim miesięcznika „Novy Orient” (ukazały się cztery roczniki), uruchomienie Szkoły Żywych Języków Wschodnich (prowadzone są kursy korespondencyjne języka koreańskiego!), zorganizowanie w r. ub. w Pradze wystaw: „Książki Orientalnej” i „Sztuki Indyjskiej” itd.

Wszystkie to osiągnięcia świadczą o niezwykłym zainteresowaniu, jakie wzbudza wśród społeczeństwa czechosłowackiego problemy kulturalne związane z Orientem, i — co ważniejsze — zainteresowania te nasu koledzy czescy potrafili w tak doskonałej formie zapożyczyć.

I jeszcze jedno. Wymieniłem tu nazwiska orientalistów czeskich starszych, najzasłużeńszych w pracy naukowej i pedagogicznej. Nie znaczy to, że nie ma młodych. Przeciwnie w r. ub. w Pradze wystaw: dając jak wokół znanych już nam poprzednio profesorów gromadzą się liczni ich współpracownicy, docenci, asystenci, uczniowie. Trzeba szczerze wyznać, że spory ten zespół entuzjastycznie nastroszonych, chętnych, zycielskich, młodych naszych kolegów praskich, których mieliśmy sposobność poznać w Pradze, zostawił niezatarte a jak najmlodsze wspomnienie. Niech wolno mi będzie szczególnie dwóm niestrudżonym naszym przewodnikom i opiekunom najserdeczniej podziękować: doc. Klimie i dr. Petraczkowi.

To właśnie niezmiernie pocieszające zjawisko, istnienia młodych kadr w „Ustawie Orientalnym” w Pradze, daje najlepsze świadectwo, że orientalistyka w Czechosłowacji jest organizmem żywym, i rozwijającym się pomysłnie. Stwierdzeniem tego faktu niech towarzyszą nasze najszersze życzenia dalszej rozбудowy i sukcesów orientalistyki czechosłowackiej. A może pewne wzory i u nas się przyjmą.



Posąg Buddy z Tybetu (zbiory muzeum w Pradze)

próby (mówię wciąż tylko o przekładach z literatury islamskiej), kilkunastu czechosłowackich, a więc utworów bardzo krótkich, Omara Chajjama, w przekładzie Andrzeja Gawrońskiego.

Otóż niewątpliwą zasługą Jana Rypki jest umiejętne zorganizowanie pracy zespolonej przy tłumaczeniu poematów perskich Nizamięgo. W najnowszych zeszycie miesięcznika „Novy Orient”, prof. J. Rypka w artykule „Swiatłom nad Nizamięm” szeroko omawia współpracę swą z znakomitym poetą czeskim, Pawłem Ensknerem, przy nowej próbie prze-

Władysław Bodnicki



Ilustracja Fialy do „Bajek w tysiąca i jednej nocy”

tywa ta — choć nieco w zmienionej formie — zostanie tak szybko urzeczywistniona. Trzeba zresztą od razu na wstępie przyznać, że idea kongresu znalazła doskonałych realizatorów w osobach naszych czeskich kolegów.

Już sama piękna stolica nad Woltawą, istotnie „krasna Praha”, tworzyła wspaniałą oprawę dla zjazdu, który zresztą tylko częściowo odbył się na terenie miasta, w siedzibie Instytutu Orientalnego. Na właściwą rezydencję zjazdu bowiem oraz pomieszczenia dla zagranicznych gości przeznaczono malowniczo położony i bogaty pałac, tzw. Zamek Dobrzyń, w odległości 40 km od Pragi. Tamże odbyło się uroczyste otwarcie zjazdu w dniu 21 czerwca br.

Organizatorzy czeszy nazwali ten zjazd „Journées scientifiques d'orientalisme”, słusznie podkreślając rolę i o b o c z y charakter tego kongresu (także po czesku „pracovní zasedání”). Spędziliśmy naprawdę pracowite „journées de travail”, choć utrzymywane w podniosłym, niemal świątecznym, a zarazem koleżeńskim i miłym nastroju „Dni Orientalistycznych”. Nie był to przecież wewnętrzny kongres orientalistów czechosłowackich, na zaproszenia bowiem iłmienne gospodarzy wzięło udział około 40 orientalistów, reprezentujących 14 krajów

— by tylko dla przykładu ograniczyć się do tych nazwisk, nie wspominając już o znakomitych naszych gospodarzach — zapewniłby zjazdowi wysoki poziom obrad naukowych. Polskich orientalistów reprezentowali: prof. J. Kurylowicz z Krakowa, prof. W. Jabłoński, sinolog z U. W. oraz piszący te słowa, jako prezes Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego.

Kongres ten nie tylko dał sposobność przedyskutowania różnych zagadnień naukowych i organizacyjnych oraz wymiany zdań na temat aktualnych prac w zakresie wschodoznawstwa, ale — i to może przede wszystkim — pozwolił zebranych uczonym z czernastu krajów zapoznać się dokładnie z metodami pracy, z dorobkiem i sukcesami orientalistyki czechosłowackiej. A dorobek jest naprawdę imponujący. Szczególnie nam, bratniej orientalistyce polskiej, miło jest podnieść zasługi kolegów czeskich w tej dziedzinie. Zwłaszcza że — o z nacłskiem należy podkreślić — działalność orientalistów czechosłowackich nie ogranicza się do dziedziny wyłącznie naukowej, fachowej. Nie, ma ambicje znacznie większe, prace orientalistów praskich sięgają do dziedziny literatury i pięknej i — co ważniejsze — znajdują wśród czytelników głęboki oddźwięk, jak można sądzić

ZWIERCIADŁO WIEKU XVIII

„Książka i Wiedza” wznioły „Charaktery i anegdoty” Chamforta w tłumaczeniu Boya, z jego wstępem. Wstęp ten świetny, jak cała puściźnia krytyczna Boya, zawiera wystarczające wiadomości biograficzne o Chamforcie i jego dziele. Co najwyżej można by uzupełnić go również przez anegdoty historyczne dotyczące samego Chamforta. Postać to nadzwyczajnie ciekawa, żeby nie rzec, zagadkowa, nic więc dziwnego, że zajmowali się nim między innymi Carlyle, Nietzsche i Schlegel. Ten ostatni pisze, że Chamfort „był tym, za co Rousseau tak bardzo chciał uchodzić: prawdziwym cynikiem w znaczeniu starożytnym”. Esswein w swym studium o Chamforcie, stara się o balić tę ocenę Schlegla i wydaje się, że ma słuszność, sądząc choćby z ostatnich słów umierającego Chamforta: „Ach, mój przyjacielu — rzeki do Siyosa — odchodzę wreszcie z tego świata, gdzie serce albo się zlamać albo stwardnieć musi”. To nie są z pewnością słowa umierającego cynika, ani nawet słowa Francuza! Bo też Chamfort, na podstawie swej twórczości, zdaje się być więcej Włochem, krewnym Danteo i Leopardiego niż Francuzem.

Zycie układa się Chamfortowi paradoksalnie, stwarza pasma przeciwności, o których on sam powiedział: „Nie lubię książką a łączą mnie stosunki z pewnym księciem i pewną księżną. Znane są moje maksymy republikańskie, a wielu moich przyjaciół posiada ordery monarchistyczne. Lubię dobrowolne ubóstwo, a utrzymuję stosunki z ludźmi bogatymi. Unikam honorów, a niektórzy przyszli do mnie same. Literatura jest prawie jedyną moją podporą, a nie widuję się wcale z ludźmi utalentowanymi, ani nie bywam w akademii. Proszę dodać, że złudze-

nia uważam za konieczne dla człowieka (tak mówi cynik?) sam zaś żyję bez złudzeń itp.” Ta sama paradoksalność daje się widzieć w pozycjach politycznych Chamforta. Sam publicznie nie występuje, ale czytelniczo poznają jego ostre pióro w licznych artykułach, broszurach i odczytach ludzi stojących na pierwszym miejscu w sprawach publicznych. Wraz z Baillym, La Fayetteem, Siyosem, Tailleyrandem i Mirabeau zakłada i organizuje Klub w r. 1789. Układa wraz z Mirabeau teoz „Uwagi o początku Cynycynata”. Pisze dlań mowę przeciw Akademii, jak napisał Talleyrandowi „Adres mający na celu uświadomienie narodu co do ducha dekretów zabezpieczających przeciw paszkwilom, zalewającym prowincję i wzywających do pokoju i ufnności”. Jego jest hasło: — POKÓJ CHATOM, WOJNA PAŁACOM. — Takie stanowisko sprawia, że już współcześni stronnicy rojalizmu uważali Chamforta za niewdzięcznego i nieuczciwego względem arystokracji, która go popierała, obdarzała dotacjami i w której towarzystwie się wychował i trwał. Uważano go za pasyżystę dawnego ustroju, który z jego upadkiem w kupuje się w łaski nowych panów. Tak nie było. Chamfort był rewolucjonistą zupełnie tak samo jak naród był w owym czasie organem zrewolucjonizowanym. A że nie był koniunkturzystą, świadczą to, że nie dążył do żadnego stanowiska w nowym porządku i że nie zamykał ust na wady rewolucji, przez co o mało nie padł jej ofiarą (niepotrzebnie przemilcza się ten fakt z życia Chamforta z krzywdą dla niego).

Może ktoś mieć wątpliwości czy słusznie „Charaktery i anegdoty” zostały wznawione. Cóż mogła ogół czytelniczkę, zwłaszcza masy świeżo pozyskane dla kultury, interesować

anegdoty o ludziach, w większości wypadków, skądinąd nieznanych? Tak, ale te anegdoty dają obraz epoki tak wierny, że jak twierdzi Boy: „Gdyby wszystko z owego schyłku XVIII w. zginęło, dałoby się odtworzyć go z tych anegdot Chamforta. Koniec epoki, koniec światu — i ginący sprawiedliwie! Ten tom anegdot stał się dokumentem” a jeżeli tak, nie można kwestionować jego wartości. Czyż ta anegdota historyczna: „sprawdzonym faktem jest, że jedna z córek króla jako dziecko bawiąc się z pokojówką spojrzała na jej rękę i policzywszy palce, zawołała zdumiona: — Jajko, to ty masz także pięć palców jak ja? — I policzyła raz jeszcze, aby się upewnić”, nie mówi lepiej o różnicach stanowych, niż całe tomy rozpraw i czy nie wzbudza celniej nienawiści, niżby to mogły uczynić usilne dowodzenie.

Padło tu słowo nienawiść. Tak, na nienawiści, na nienawiści i zemście Chamforta wychowały się całe pokolenie, najwartościowsi ludzie przeszli tej szkole. Zważywszy, że sam Mirabeau oczekiwał od Chamforta pobudek, przestrogi i wyroków i znosił je. Nietzsche mówiąc w „Wiedzy radosnej” o Chamforcie powiedział, że „gdyby Chamfort był wówczas cokolwiek więcej filozofem, toby rewolucji zrobił tragicznego dowcipu i najostrzejszego żądania, uchodziłaby za dużo głębsze wydarzenie i nie uwiodłaby tyle duchów”.

Należałoby wydać również „Maksymy i myśli” Chamforta, z których na użytek politykowy przytaczam jedną: „Ja jestem wszystkim, reszta niczym. — Oto zasada tyranii, arystokracji i ich sojuszników. — Ja, to tyłec, co inny, inny, tyłec co ja: oto system rządów ludowych i ich zwolenników. Teraz wybieracie”.

W. N.

Ananiasz Zajączkowski

BALET AKADEMICKIEGO TEATRU ZSRR W POLSCE



Tichmirnowa w „Rapsodii”



Mosserer, Wasiljewa i Gotlib w balecie „Ocean i perły”

Od 24 lipca bawi w Polsce na gościnnych występach 50 osobowy zespół baletowy Państwowego Akademickiego Teatru Wielkiego ZSRR. Wraz z zespołem przybyli czołowi tancerze-solisci, radzieccy laureaci nagród stalinowskich: Olga Lepieszynska, W. Preobrażenski, Asaf Mosserer i Michał Gabowicz.
Po występach w Warszawie zespół baletowy uda się do Krakowa, Katowic, Wrocławia, Poznania i Sopotu.

JANINA KOROLEWICZ-WAYDOWA

Z dziejów Opery warszawskiej

Opera Warszawska w okresie ostatnich lat pięćdziesięciu przechodziła tak wielkie ewolucje, jakich nie знаła — zdaje się — żadna z oper stołecznych w świecie. Kiedy w roku 1899 jako osiemnastoletnia primadonna przybyłam do Warszawy, była to opera typowo włoska, w której we wszystkich prawie działach panowali Włosi, dla których „Varsavia” była źródłem niewyczerpanych dochodów w setkach tysięcy rubli. Dyrygentami byli przeważnie Włosi, z tych świetnych Maestro Trombini był najbardziej lojalnie usposobiony, nawet ożeniony z Polką i zaaklimatyzowany całkowicie w Warszawie. Następca jego był Włoch, świetny Vittorio Podesti, dyrygentem baletu Stermicz. Nieporównany kierownikiem chóru Maestro Clivio z La Scala mediołańskiej, zaś dyrektorem baletu także Włoch, znakomity Grassi, typowy kierownik włoskiej szkoły choreograficznej. Balet warszawski stał wtedy na najwyższym poziomie i liczył ponad 150 osób, miał wielką szkołę baletową, do której przyjmowano dzieci od ósmego roku życia. W tym czasie Opera Warszawska dawała wspaniałe widowiska baletowe, całowieczorowe, jak „Jeziro Łabędzie”, „Czajkowskiego”, „Dama Pikowa”, „Szeherezada”, „Twardowskiego” i inne. Wychowankowie tej świetnej szkoły włoskiej byli niezwykle tancerzami. Fenomenalna, czarująca primabalerina Michalina Rogińska, Walczak, Kulesza, Zajlich i żyjący dotąd w pełni sił i ferworu młodzieńczego, jeden z najwybitniejszych tancerzy, niedawny jubilat Aleksander Sobiszewski, nieporównany pedagog, zdaje się jedyny dzisiaj z wiekłej szkoły włoskiej, którego wiedzę należałoby jak najrychlej wykorzystać dla przyszłej zawodowej Państwowej Szkoły Baletu. „Bo to jest ten ostatni, co tak poloneza wodzi”. W tym okresie Opera była prawie całkowicie włoska, bo wszystkie czołowe role obsadzone były Włochami, a Polacy, którzy śpiewali przeważnie tylko drugie role, zmuszeni byli śpiewać także po włosku; jedynie tylko „Halke” i „Straszny dwór” można było śpiewać po polsku. Ponieważ Włosi prawie wszyscy byli pierwszorzędnymi śpiewakami, publiczność nie wyobrażała sobie, by ktokolwiek mógł im dorównać.

Najwybitniejszym wówczas z polskich sił był, stale zaangażowany, świetny baryton i aktor sceniczny Józef Chodakowski, który w rolach kontuszowych był wprost pomnikowy. Wielki patriota Chodakowski był również najlepszym w Polsce reżyserem operowym. Cierpiał, że nie miał dość wybitnych sił, aby stanąć do walki z Włochami. Dopiero, kiedy udało mu się przeforsować równocześnie cały zespół polski na naczelne stanowiska: nieporównanego tenora Aleksandra Myszugi i Adama Didura, mnie i moją koleżankę z konserwatorium, bardzo zdolną aktorkę i śpiewaczkę Eugenię Sztrossernównę, a następnie Kruzelnicką, rozpoczął swoją kampanię przeciwko „włoskiej okupacji”. Poza operami włoskimi, w których nie daliśmy się zdystansować, wystawił z nami „Straszny dwór”. Stefanem był Myszuga, Zbigniewem — Didur, Hannę śpiewałam ja, Jadwigę — Sztrossernówna, a miecznikiem był Chodakowski. Cała prasa „unanime” z Sygietyńskim na czele poparła akcję walki z Włochami. Wobec wielkich naszych sukcesów udało się Chodakowskiemu przeforsować pozwolenie na wystawienie „Goplany” Żeleńskiego. Rolę tytułową śpiewałam ja, Balladyną była Sztrossernówna, później Kruzelnicka, Alinę śpiewała piękna Maria Skulska, Kirkora — Myszuga, Kostryna — Chodakowski, a Grabca bardzo utalentowany młody tenor o pięknym głosie i świetnej aparacji Stanisław Sienkiewicz. Opera ta stała się pierwszym ciosem dla Włochów, gdyż sukces nasz był tak wielki, że widownia stała do ostatniego miejsca była przepelniona; zaczęły się długie kolejki przed kasą, kończące się aż przy ul. Wierzbowej. Włochy chodzili smutni i coraz mniej przyjeżdżali ich na gościnne występy. Chodakowski wysłał wspaniałe „Demona” Rubinsteina, „Onieginą” Czajkowskiego, a przede wszystkim — z wielkim pietyzmem — „Hrabinę”, „Widmą”, („Dziady”) i „Verbum nobile” Moniuszki.

„Hrabina” obsadzona i wystawiona bezkonkurencyjnie, stała się zagładą Włochów i utrwaliła zaufanie do rodzimej muzyki i polskich artystów. Po „Hrabinie” wznowiono „Verbum nobile”, ale w takiej obsadzie, że właściwie należało zrobić z tą cudną na wskroś polską perelką moniuszkowską tournée po Europie. Śpiewali tam: Chodakowski jako z Pakulowic Pakuła, Didur jako Mośpanie Ciopanie i Hilary Dyliński jako organista dyrygujący pod okienkiem Zuzi „Jak lilija co rozwija”, ja śpiewałam Zuzię, a Stanisława świetny młody baryton, pełen zawodniackiego animusu Wiktor Gromczewski, dyrygował Emil Młynarski. Widowisko to było zespołem, jakiego już nigdy nie da się złożyć. Koroną twórczości reżyserkiej Chodakowskiego było wystawienie „Dziadów” (Widm) Moniuszki, nieprawdopodobnie trudne i skomplikowane ujęcie sceniczne pojawiania się wizji w mrocznym kościele. Na przepelnionej widowni była stale grubsza cisza a kiedy w finale w nastrojowym oświetleniu ukazała się wizja Mickiewicza — zdawało się, że wszyscy przestali oddychać. Po zapadnięciu kurtyny przez długą chwilę panowała cisza, publiczność nie mogła się wyzwolić z głębokiego nastroju.

Widowisko dopełniała bardzo miła, stara, bezpretensjonalna opera Kurpińskiego „Zamek na Czorsztynie”.

Te manifestacyjne przedstawienia cieszyły się niebywałą frekwencją; i znów rozpoczęły się kolejki przed kasą teatralną.

Na ósmym z rzędu przedstawieniu zjawiała się Kruzelnicka, która przez jakiś czas nie była obecna w Warszawie, zirytowana silnie tym, że przedstawienie odbywa się bez jej udziału. Na przyjęciu u gubernatora Skalkona oznajmiła, że takie makabryczne przedstawienia powinny być zakazane.

W dwa dni później z rozkazu Skalkona „Widma” zostały zdjęte z afisza.

Po Chodakowskim powołany na stanowisko reżysera został Władysław Floriański, świetny tenor i ciekawy artysta, który prawie przez całe życie śpiewał w „Narodnim Divadle” w Pradze czeskiej; rutynowany i świetny wagnerzysta reżysero jednak nie dorównywał Chodakowskiemu.

Era Opery Polskiej zaczęła gasnąć. Ja w roku 1902 opuściłam Warszawę udając się do Berlina, Moskwy i Londynu. Didur i Kruzelnicka wyjechali do Włoch. Słowem zabrakło filarów i znów rozpoczęły się występy włoskich śpiewaków.

Jeden sezon prowadził na własne ryzyko Aleksander Rajchman. Po powrocie z zagranicy śpiewałam, gdy niezwykłym dyrygentem był Maestro Vignia. Przypisano mi dyrygował on „Aidą” i „Stabat Mater” Rossiniego, które powtarzaliśmy 7

razy, przy wyprzedanej do ostatniego miejsca Filharmonii.

W r. 1917 objęłam sama dyrekcję Opery i prowadziłam ją do r. 1919 nie tylko bez deficytu, ale nie zużytkowując subwencji, którą w sumie 300.000 zł. ofiarował mi miasto. Po moim odejściu przez krótki czas Operę prowadziło zrzeszenie artystów. Po czym objęło ją miasto robiąc coraz większe milionowe deficyty, aż w końcu zdecydował zamknąć Operę. Wtedy artyści sami objęli Operę i uzyskali nawet pewną subwencję. Niestety Opera nie może być prowadzona przez zrzeszenie. Musi mieć kierowników odpowiedzialnych za całość. Jest to najbardziej skomplikowana instytucja muzyczna, która w dodatku poza muzyką ma jeszcze tyle rozbieżnych działów technicznych, że porozumienie między nimi jest rzeczą bardzo trudną. Dlatego na czele muszą stać bardzo fachowi, wykwalifikowani ludzie, którzy odpowiadają za całość.

W roku 1934 ponownie objęłam dyrekcję Teatru Wielkiego prowadząc go jak poprzedni na własny koszt i własną odpowiedzialność. I tym razem wiodło mi się świetnie, aż do momentu, kiedy po śmierci Piłsudskiego kazano mi zamknąć teatr na dwa tygodnie.

W kilka tygodni po otwarciu Opery kosztem 100.000 zł wystawiłam uroczą operetkę „Rose Marie”, porozumiały się nieprędy z personelem, że gramy bez żadnej pomocy, na własne ryzyko. Operetka świetnie, luksusowo wystawiona sukces miała rekordowy, daliśmy 104 spektakle przy wyprzedanej widowni i udało nam się uratować od trzymiesięcznego bezrobocia ponad 380 osób.

W roku 1936 ponownie zrzekłam się dalszego kierownictwa Stołecznej Opery Warszawskiej. Po moim ustąpieniu miasto powierzyło Operę Mazarakiemu, który w niespełna 6 miesięcy doprowadził ją do półmilionowego deficytu.

Takie to dziwne losy przechodziła ongiś świetna opera Warszawska. Mam jednak głęboką nadzieję, że przyszła Państwowa Opera Ludowa otoczona wielką opieką i pietyzmem na wzór oper radzieckich spełni doniosłą rolę społeczną.

Janina Korolewicz-Waydowa

TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR

WARSZTAT TEATRALNY

Przed wojną organizował Leon Schiller w Warszawie przedstawienia tak zwanego „Warsztatu Teatralnego”. Były to popisy absolwentów Wydziału Reżyserkiego PIST (Państwowego Instytutu Teatralnego). Impreza pomyślana skromnie — rodzaj publicznego przeglądu sił, nieoficjalny egzamin smaku, kultury, umiejętności i kunsztu. Lecz imprezy te nabrały od razu szerszego znaczenia; popisy organizowane w niewielkiej sali Teatru Nowego stały się głośnie, cieszyły wielkim powodzeniem, ściągaly publiczność; pomyślano zasadniczo jako imprezy jednorazowe, wielokrotnie doczekały się powtórzenia. Sądono, że Warsztat Teatralny zostanie czymś w rodzaju nowego, eksperymentalnego i bardzo interesującego teatru; że, nieskrępowany rygiem komercjalizmu, zaznajomi polską publiczność z nowymi pomysłami reżyserскими i nowym, polskim czy zagranicznym repertuarem. Tego samego dnia recenzenci dwóch pism warszawskich wyrazili w związku z Warsztatem Teatralnym te same tęsknoty i nadzieje. Byli to recenzenci często niezgodni w sądach, recenzenci dwóch różnych pokoleń. Rzecz ciekawa, że treść artykułu była podobna — mimo, że nie zamieniliśmy na ten temat z Boyem ani jednego słowa.

Instytucja „Warsztatu Teatralnego” zaczęła się obecnie odradzać. Myślę, że dziś właśnie jej rozrost byłby specjalnie pożądany i możliwy. Teatr polski potężnieje, zyskuje sobie rokrocznie szerszą publiczność; cyfra 8 milionów widzów w sezonie 1943/49 budzi jak największe nadzieje. Komercjalizm został przezwyciężony; względy opłacalności i kasowości nie są już ważne. W tych warunkach wypracowanie istotnych kryteriów estetycznych, ich przemysłowe, rozwój, sprycyzowanie i uporządkowanie staje się sprawą coraz bardziej palącą. Warsztat Teatralny, byłby jednym z wielkich laboratoriów, gdzie można by dokonać tej pracy. Entuzjastyczna, chłonna, nieoprobowana świeżość młodzieży mogłaby tu próbować swych sił i realizować reformatorskie pomysły. Ale uczyłaby nie tylko siebie — zarazem uczyłaby i nas. Bo teatr jest dzie-

łem zbiorowym nie tylko w tym znaczeniu, iż każde przedstawienie wymaga wspólnego wysiłku. Jest on sprawą zbiorową w szerszym także sensie — wytwarzania atmosfery kulturalnej, organizowania środowiska, inspiracji, bodźców, kształtowania praw wyobraźni. Mając charakter w pewnym sensie laboratoryjny, Warsztat Teatralny chroniłby młodych artystów od poślizgnięcia, a zarazem stałby się jednym ze środków przeciw zawsze aktualnej groźbie skostnienia, zrutynizowania, atrofii.

Dlatego ucieszyłem się bardzo, gdy ujrzałem przed kilku dniami w Krakowie we wskrzeszonym Warsztacie Teatralnym interesującą pracę młodej reżyserki. Ireny Babel. Wychowanka Suda Teatralnego za dyrekcji Jerzego Ronarda Bujalskiego, Irena Babel współpracowała później, jako asystentka przy reżyserowaniu wielu wybitnych przedstawień teatru Bronisława Dąbrówskiego. Dzięki zdaniem egzaminowi młoda terminatorka wyzwoliła się na majstra samodzielnego. Byliśmy wszyscy ciekawi wyboru sztuki i metod jej wystawienia.

Pisarz francuski, Peyrret-Chappuis, był bardzo młody, gdy paryski teatr Hebertot zagrał w roku 1938 jego „Frenesie” („Szaleństwo”).

Pisząc tę sztukę miał lat dwadzieścia kilka; wychowany gdzieś na prowincji niewiele widział teatralnych przedstawień. Tym bardziej zadziwił i porwał śmiałością, dojrzałością i siłą swego spojrzenia dramatycznego. Była w tej sztuce mocna, znakomita obserwacja, ciekawy dialog, sugestywna namietność. Postać starej panny, którą literatura i teatr tak długo poniewierały jako idealny przedmiot żarcików, Peyrret-Chappuis niejako zrehabilitował artystycznie, uczynił ośrodkiem i głównym podmiotem dramatu, rozgrywanego jakby „pod ciężarem wielu atmosfer”. Rok później, tuż przed wojną, wystawiono w Paryżu drugą sztukę Peyrret-Chappuis „Le feu Monsieur Pic”, która w r. 1946 zawędrowała i do Krakowa. Mniej porównawcza, niż „Szaleństwo”, sztuka ta przekonywała ostrą krytyką francuskiego prowincjonalne-

go świata mieszczańskiego. „Judyta” (w oryginale, jak mi się zdaje: „Holofernes”), którą obecnie wystawiła pani Babel, jest trzecią i ostatnią sztuką autora „Frenesie”. Napisany tuż po wojnie (a może nawet pod koniec okupacji), utwór ten został wystawiony w Paryżu w sezonie 1945/46 — i nie zdobył żadnego sukcesu. Od tej chwili młody autor zamilkł; nie słychać o nim, może zajął się czymś innym.

„Judyta” (czy „Holofernes”) była próbą dość karkołomną. Odnawiać raz jeszcze ten mit po tylu innych pisarzach — od Hebla i Giraudoux — na to trzeba było czegoś zupełnie rewelacyjnego. Peyrret-Chappuis sądził, jak się zdaje, że ową niezwykłą nowością mogą się stać reminiscencje wydarzeń drugiej wojny światowej. Obnażyć wewnętrzna słabość owego dyktatora i zdobywcę, nowoczesnego Holofernesa, który wygrywa bitwy natęgniętej woli i brakiem skrupułów etycznych, dla którego życie jednostki splecionej z jego losami tak samo nie ma znaczenia jak egzystencja i szczęście narodów — oto temat pociągający i świeży. Holofernes umie wygrać bitwy, lecz nie potrafi zdobyć miłości żadnej istoty, potrafi obliczyć matematycznie sposoby zdruzgotania obłożonego miasta, lecz nie zna sił duchowego oporu pokonanych. I jego ślepa, zwierzęca siła musi go nieuchronnie doprowadzić do ostatecznego samobjóstwa. Ale Peyrret-Chappuis uparł się, by ten temat ująć w paradoksalną formę dialogu dwóch tylko osób: Holofernesa i Judyty. Judyta uczyniła przedstawicielką innej siły, równie bezwzględnej, a jeszcze bardziej przewrotnej: egoizmu wykołojonej, wypaczonej przez nieszczęście kobiecości. Taka kompozycja zmusiła autora do ustawicznego żonglowania pomysłami; starał się zaskakiwać widza coraz to nowymi paradoksami, wywodzącymi się potrozie ze szkoły Bernarda Shaw, ale bezshawowskiej konsekwencji i celowości. Starczyło więc pełnego tehu tylko na — wyborne napisany — pierwszy akt. Drugi, dużo kapryśniejszy i słabszy ustępuje miejsca już zupełnie piękniemu finałowi. Dla reżysera jest to sztu-

ka — raczej mało efektowna. Ponieważ rozwój akcji mieści się niemal całkowicie w dialogu dwojga bohaterów, uwaga widza skupia się na grze aktorów, a rola reżysera staje się prawie niedostrzegalna. Ilekroć więcej materiału reżyserkiego i inscenizacyjnego znalazłaby pani Babel w sztukach Giraudoux, których tak niewiele pokazano dotychczas w polskich teatrach! Ale ta reżyserka skromność była tu zapewne aktem celowym — chodziło może o wykazanie umiejętności w stosunkowo nieefektywnych warunkach. W każdym razie widać było w przedstawieniu inteligentną analizę tekstu, jego rozumną i wrażliwą interpretację, pomysłowość (np. w świetnie zarysowanej scenie Judyty z niewidzialnym naręczonym, znajdującym się rzekomo w drugim pokoju).

Judytę grała Mikołajska. Wydaje mi się, że jest to jedna z najlepszych ról tej młodej artystki, po Euridyce w „Orfeuszu” i Desdemonie w „Otelu”. Sposób prowadzenia dialogu — zwłaszcza w pierwszym akcie — efektowne w najlepszym sensie, reagowanie na słowa partnera, wydobycie z tekstu zasobów ironii, okrucieństwa, chłodu, tęsknoty i zalotności, umiejętności zaskakiwania naszej uwagi, tworzenia niespodzianek, wymownego milczenia, niezwykłego intonowania słów, półsłówek i spojrzeń, to wszystko było interesujące i nieszablonowe. Jednak sztuka posilkowana: się gestem nie dorównała wartościom prowadzenia dialogu. Holofernesem był Sheybal, który z niemałą inwencją walczył przeciw — nieodpowiednim w tej roli warunkom zewnętrzny. Z tekstu wynika wyraźnie, że Holofernes ma być mężczyzną dojrzałym; Sheybal zaś posiada powierzchowność raczej chłopięcą. Może należało próbować charakterystyki? Ale istotną słabość Holofernesa, przy pozorach siły i pod powierzchwną brutalną pewnością siebie — odsłaniał Sheybal inteligentnie, ciekawie i trafnie. Wolatem go, co prawda, w niezapomnianym (a niedocenionym) świetnym przedstawieniu „Kaprysów Marianny” Musseta...

KRONIKA TEATRALNA



„Pygmalion” Shawa w Teatrze „Wybrzeże” — K. Zarzycki, Konrad Łazewski, Roman Stankiewicz i Zofia Ankiewicz



Teatr Dzieci Warszawy wystawił montaż Hanny Januszewskiej „Opowieść o Chopinie”. Reżyseria zespołowa, dekoracje i kostiumy Janiny Petry-Przybylskiej. Na zdjęciu scena z aktu drugiego. Wojciech Natanson

FILM - FILM - FILM - FILM - FILM

Wzruszeniach kultury

MARIUSZ MARGAL

Falszywe zasady

W grudniu ubiegłego roku Instytut Filmowy w Łodzi wydał w nakładzie 5000 egzemplarzy przez niepodanego tłumacza przeloczną z Francuskiego ksiązkę André Bérthomieu „Zasady sztuki filmowej” (tytuł oryginalny: „Essai de grammairie cinematographique”).

Chociaż książka jest niewielką broszurką o 60 stronach małego formatu należy jej poświęcić nieco uwagi. Chociażby z tej przyczyny, że jest to pierwsza po wojnie książka dotycząca zagadnień filmowych (eżeli nie liczyć broszury Aleksandra „Za kulismis filmu” wydanej również w ub. r.).

Filmowa literatura polska jest jak uboga, że każde nowe wydanie książkowe powinno być celowe, przemyślane i istotne dla naszej rzeczywistości kulturalnej. Niestety, książka Bérthomieu nie zawiera w swojej treści nic takiego, co mogłoby usprawiedliwić jej wydanie (poważnym szańcem kosztem, skoro ta ciekawa broszura kosztuje aż 300 złotych).

W grudniu ubiegłego roku Instytut Filmowy w Łodzi wydał w nakładzie 5000 egzemplarzy przez niepodanego tłumacza przeloczną z Francuskiego ksiązkę André Bérthomieu „Zasady sztuki filmowej” (tytuł oryginalny: „Essai de grammairie cinematographique”). Chociaż książka jest niewielką broszurką o 60 stronach małego formatu należy jej poświęcić nieco uwagi.

DWIE WYSTAWY W KAMIENICZCE JOHNA.

Na wystawę książek i czasopism prac malarskich i graficznych o Trasie WZ wchodzi się po zbitych z desek schodach-drabinie. Gdyby nie plakat w głębi niewykończony bramy: „5 lat odrodzonej literatury polskiej” i „Trasa WZ w plastyce” nic by nie wskazywało na to, że przechodząc nad nierozrobionym jeszcze wapnem dojdzie się do tej wystawy typowej dla ostatnich miesięcy w Warszawie.

Już w pierwszym tygodniu wojny został on zwinięty w rulon, opakowany i przewieziony do muzeum w Lublinie, skąd w 1941 r. zabrano go i schowano w wykopanym schowku szopy Taborów Miejskich zamaskowanym ceglami i betonem, w którym przetrwał aż do uwolnienia Lublina.

W październiku 1944 obraz przekazano pod opiekę Rządu. Długie przebywanie w ziemi spowodowało przegnicie w wielu miejscach płótna i liczne plamy pleśni powodujące odbarwienie farb, co wymagało natychmiastowego przystąpienia do konserwacji.

Po wielu wstępnych „zabiegach” w 1948 r. przystąpiono do prostowania skurczzonej i sfalowanej powierzchni obrazu przez stosowanie kompresji. Na wiosnę 1949 udubowano oryginał tj. podklejono go kłobami w Tomaszowie na specjalne zamówienie płótnem. Następnie oczyszczono plamy i regenerowano wydobywając chemicznie czyste barwy ze zmatowiałych pod wpływem wilgoci części obrazu.

Po wernikowaniu „zapunktowano” części, z których odprysła farba w początkach lipca br. kończąc wszystkie prace konserwatorskie i przywracając mu dawną świetność.

Dzielo Matejki dzięki zmułnej, ciężkiej i odpowiedzialnej pracy zespołu Państwowej Pracowni Konserwacji Zabytków Malarskich prowadzonej przez prof. Bohdana Marconiego uświetniło swe dawne miejsce w zbiorach „Zachęty” jako jeszcze jedna „cegiełka” odbudowującej się Warszawy.

WYSTAWA OBJAZDOWA

Muzeum Narodowe w Warszawie skonstruowało zastępczą salę wystawową w postaci przystosowanego do tej funkcji samochodu, który dociera do najdalej położonych miasteczek i wsi.

Pierwszą tego rodzaju imprezą jest wystawa obrazująca życie i twórczość Adama Mickiewicza i Aleksandra Puszkina.

Aufobus wystawowy zaopatrzony w światło pobierane z własnego agregatu i mechaniczną wentylację posiada w swym wnętrzu ściany przystosowane do zadań wystawowych oraz oświetlenie górne i boczne, które pozwala na dobrą widzialność ekspozycji.

Ekspozycje te (około 280), przeważnie fotografie sztućców, portrety, ilustracje do dzieł itd. zaopatrzone są w przystępne objaśnienia dotyczące życia i twórczości poetów.

Wystawa objazdowa jest imprezą o doniosłym znaczeniu społeczno-wychowawczym, gdyż sprawi rzeczywiste zbratanie się widza prowincjonalnego z hieratyczną dotąd kulturą.

CZTERECH WIESZCZÓW NA WIŚLE

Staraniem Komitetu Wykonawczego stopiędziesiątceurodzin Adama Mickiewicza i Aleksandra Puszkina oraz stułcia śmierci Juliusza Słowackiego i Fryderyka Chopina urządzono na Wiśle między przystankami WTW a Portem Czerniakowskim widowisko ludowe poświęcone czterem wieszczom.

Wysilek twórców tej imprezy, jej wykonawców spośród najlepszych aktorów naszych scen oraz nowych kadr młodego pokolenia, baletu i chorów — manifestacja narodu polskiego dla wielkiej pułchny kulturalnej — mógł stworzyć dobre widowisko.

Szkoda tylko, że ta ze wszechmiar godna pochwały impreza wykazała, jak łatwo można zepsuć najwartościowsze koncepcje nietafrnym doborom tekstów i złą reżyserią.

DZIENNIKARZE I LITERACI RADZIECCY W POLSCE

W związku z uroczystościami Święta Odrodzenia przybyli do Polski dziennikarze i literaci radzieccy: Dawid Zaslawski czołowy publicysta radziecki, znany działacz w obronie pokoju, redaktor polityczny „Prawdy”, Michał Tiurin, kierownik działu literackiego „Izwiestii”, Aleksy Surkow, poeta, redaktor czasopisma „Ogoniok” Lubomir Dmiterok, poeta i dramaturg zastępca przewodniczącego Związku Literatów Ukrainy, oraz Maksym Tank, znakomity poeta białoruski.

Podjęmowani przez polski świat literacki goście radzieccy urządzili w Warszawie i Krakowie wespół z pisarzami polskimi parę wieczorów autorskich.

BIBLIOTEKA NARODOWA N.47 N.51 J. Słowacki POWIEŚCI POEZYJ KIE opracował M. Kridl ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLINSKICH Do nabycia w Wydawnictwie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich Wrocław, Plac Solny 13, u księgarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich - Kraków, Podwale 5 i we wszystkich księgarniach

DRUGA STRONA BARYKADY

„Potępiący” — film produkcji francuskiej. Scenariusz: J. Companes i J. Rénay. Reżyseria: René Clément. Zdjęcia: Alekon. W rolach głównych: Henri Vidal, Florence Marly, Michel Auclair.

1 maja 1945 roku, około godziny 23, mała radiostacja we

A w mesie oficerskiej jeden z uciekających kolaborantów, włoski kapitalista, rzucił w twarz Forstera, bliskiemu współpracownikowi Himmlera: — Nigdy nie wierzyłem w nasze zwycięstwo. Głos „Wielkich Niemiec” zalał się.

Powinny były wiazać ale w przypadku faszystów — nie wiaze.

Clément sięga do środków najdrastycznych i wyrok odbież na pasażerów U-Bootu jest najbardziej: wygubią się wzajemnie, własnymi rękami.

Włoski bankier, który wydał Niemcom na lup przemysł swego kraju skończy samobójstwem. Nikczemnego zdrajce, dziennikarza francuskiego, zastrzelił bliski współpracownik Himmlera. Uczeń tego gestapowca, zepsuty smarkacz, wychowany w HJ zarżnie chorliwego szpiega niemieckiego w Argentynie, a on smm, Oberguppenführer Forster bez wahania każe zabić niemiecki frachtowiec i kilkuset marynarzy niemieckich, by zostać z koleji zaszytym w jego młodego „wychowanka”.

Przynależność do ebozu faszystowskiego znaczy w filmie Clémenta fatalne piętno na czołach jego protagonyistów. Wszyscy noszą w samych sobie zarodek śmierci. Faszystom degorywający ulega samozagładzie. Likwiduje się automa-tycznie.

Reżysera Clémenta znamy jako twórcę doskonałej „Bitwy o szynę” inscenizowanego reportażu o akcji podziemnej francuskich kolejarzy. Pamiętamy jego realistyczną troskliwość nie tylko o autentyzm akcesoriów, lecz i o zachowanie pełnej wyrazistości społecznej francuskiego Ruchu Oporu.

„Potępiący” nie przypomina form „Bitwy o szynę”. Nie jest to już reportaż lecz sensacyjny film fabularny o nieprawdliwym zdarzeniu, z niezmiernie wartką bogatą akcją.

A jednak bez trudu dopatrzeć się można w obu filmach tej samej, wytrawnej ręki reżyserskiej; ta sama je cechuje treskliwość o usadnienie społeczne przedstawianych zdarzeń i dbałość o autentyzm środowiska. (W „Bitwie” stroną ukazywaną są boćownicy antyfaszystowscy, a Niemcy pojawiają się tam jedynie epizodycznie, w „Potępięcach” obiektyw spoczywa na hitlerowcach i ich ideowych adhecentach.

Pokazując tym razem przeciwną stronę barykady, jest nowy film Clémenta odwrótną, negatywną stroną „Bitwy o szynę”.

Czy można reżyserowi filmu postawić zarzut, że samozagłada faszystów odbywa się zbyt szybko, zbyt fatalistycznie, zbyt atucmialtycznie, bez ingerencji obco przeciwnego?

W opowiedzianej przez Clémenta historii wszystkie te zastrzeżenia tracą na ostrości. Zamknięta, odgrodzona od świata społeczność radzi się wprawdzie tymi samymi prawami, co społeczność wielka (inaczej film byłby potępieniem wyłącznie tej niewielkiej grupki osób), lecz prawa te mogą w niej działać szybciej i konsekwentniej. A ingerencja obco przeciwnego? Nie tylko istnieje, lecz stanowi dominantę zdarzeń. Posunięcia osób działających są przecię, w ostatecznym rachunku, zdeterminowane właśnie przez beznamiętne słowa komunikatu: Adolf Hitler umarł. Zatoğa Berlina złożyła broń.

Film jest potępieniem faszystów tym bezwzględniejszym że w odniesieniu do pasażerów przekłętej łodzi zachowuje do końca konsekwentny pesymizm. Garść ludzi, która ostatecznie ujdzie z życiem, nie będzie jakimś pozytywnym przeciwstawieniem reszcie. To będą za ledwie rozbitkowie, w żadnym razie nie nosiciele nowego życia.

Jedyny członek załogi U-Bootu lewicowiec-radiotelegrafista, zginie z ręki Forstera, jako „ofiara zamachu samobójczego”.

W „Potępięcach” widać wyraźnie jak zalamuje się głos „Wielkich Niemiec”. Nie słychać natomiast wcale głosu Niemiec przyszłych.

Film jest przykry i przygnębiający, choć protest przeciw faszystom łączy w jego założeniach jest bardzo zamiętny

Jerzy Piażewski



„Potępiący”

Flensburgu szlczewickim nadała komunikat tzw. „głównej kwatery Führera”: Adolf Hitler umarł. Tego samego dnia, tylko o kilka godzin wcześniej: 130.000 żołnierzy Wehrmachtu złożyło broń w u pokoronym Berlinie.

Te dwa fakty, bardziej może niż samo podpisanie aktu kapitulacji uderzył obuchem w 70 milionów Niemców. Głs „Wielkich Niemiec”, skandujący rytmicznie „Ein Volk, ein Reich, ein Führer” — zalał się. Co powiedzą te przyszłe Niemcy, gdy odzyskają te głosy.

Dla nas, sprzymierzonych w walce z faszystem dniem ostatecznego triumfu był 8 maja. Dla narodu niemieckiego pierwszym dniem nowego, był 1 maja.

Tegoż dnia na pokładzie niemieckiej łodzi podwodnej płynącej z Oslo do Argentyny z wybitnymi osobistościami upadającego reżimu — austriacki telegrafista o lewicowych przekonaaniach powiedział do podróżującego przymusowo lekarza francuskiego: — Są dobre nowiny.

JESZCZE O PROGRAMACH KINOWYCH

Fisaliśmy już raz o niedbanych programach kinowych. Niestety, od tego czasu mało się poprawiło. Na przykład program „Młode Gwardii” informuje, że autorem muzyki w filmie, jest Szostakowicz. Lecz muzyka tego kompozytora jest tak dziwnie podobna do utworów wielkiego muzyka radzieckiego D. Szostakowicza, jak podobne są do siebie te dwa nazwiska.

Dalej: program informuje fałszywie, że reżyserem filmu jest E. Weik. Tymczasem „Młoda Gwardia” reżyserował Sierusz Gierasimow, profesor Państwowego Instytutu Filmowego w Moskwie.

Domyśliamy się skąd ten bład. Ktoś, kto opracował program, czerpał zapewne wiadomości z oryginalnej czołówki filmowej w języku rosyjskim a w słowniku filmowym rosyjskim „reżysor” odpowiada naszemu asystentowi, jest więc funkcja podrzędna, natomiast reżyserem filmu jest postanowiszczik. Ale nawet asystentem nie jest wcale E. Wołk tylko — E. Blok. Niewłaściwie jest również podana obsada aktorska. Pierwszych trzech wykonawców, to rzeczywiście główne role w filmie. Ale dlaczego wymieniono w programie W. Uralskiego, który gra rolę trzeciordźna, a nie podano nazwisk takich ważniejszych wykonawców jak np.: W. Chochrjakow

(Procenko), czy E. Anfurjewa (Babke).

W omówieniu filmu znajdujemy zdania niepoprawnie sformułowane i metne: „Powodzenie (film) zawdzięcza zarówno artyzmowi pióra A. Fadijewa jak i tej atmosferze bohaterstwa, tym wysokim walorom, jakie z niej promieniuują. Do młodzieży zawsze przemówi niefałszowana prawda szlachetnego życia, bezkompromisowego wyboru między zdradą a obowiązkiem, wyboru za który trzeba było w czasach ostatniej wojny często płacić śmiercią ale nie godnością.”

Co to znaczy? Przecież doskonale wiemy z treści książki i filmu, że Fomin zapłacił właśnie śmiercią za podeptanie godności obywatela radzieckiego.

„Albo takie określenia: powieść „umiejtnie przeniesiona na taśmę filmową”, „montaż urozmaicony”, „Młodzi artyści, zapewne pilni czytelnicy powieści Fadijewa”... czytamy dalej w programie. Po co się domyślać — nie zapewne — ale na pewno. Aktorzy filmu nie tylko czytali powieść Fadijewa ale Gierasimow zabrał ich na miejsce akcji powieści i filmu, do Krasnodonu, aby jak najlepiej wczuli się w swoje role.

A więc prosimy rez jeszcze: więcej staranności, uwagi i rzeczowych informacji w programach filmowych.

bow.

Omawiając po tych wnioskach: sędzie samego scenariusza, Bérthomieu ogranicza się jedynie do porównania scenariusza z dziełem literackim lub teatralnym: otrzymamy obraz nie oddaje więc istoty zamówienia. Poświęcono scenopisowi rozdziały trzeci i czwarty (od scenariusza do scenopisu) i „Składnia i styl scenopisu” są zbyt suche by mówić o jakiejś, a zbyt powierzchowne i płytkie, by stanowiły wartościowy materiał dla fachowca. Podobne wrażenie sprawia rozdział czwarty i ostatni „Realizacja” z tym jeszcze dodatkitem, że autor rzuca w nim tonem zbyt pewnym i stanowczym rzekome prawa i reguły, które wcale nimi nie są. Czy można bowiem rzeczywistości ustalić, że przeciętne nakręcenia dla normalnego filmu wynosi od 10 do 12 ujęć dziennie co znaczy, że zdjęcia 450 ujęć trwają około 40 dni zarówno w atelier jak i na plenerze” (str. 58). Wobec tego zaś, że na str. 42 autor twierdzi, że przeciętny film zawiera ok. 450 ujęć, wynika z tego jasno, że realizacja filmu nie przekracza z zasady 40 dni!

Po przeczytaniu jednak w zakończeniu, że „kinematografia traktowana przez niektórych estetych wyłączone z punktu widzenia sztuki lub formy artystycznego wyrazu jest dla branżystów (!) przemysłem o czwycie artystycznej, ale który jak każdy przemysł musi liczyć się ze względami handlowymi i ekonomicznymi, by się utrzymać przy życiu (co) zmusza nas (tj. filmowców — przymo. mm) do częstokroć do zapomnienia, niesety, o aspiracjach artystycznych”.

Można sobie łatwo wyobrazić, w jaki sposób produkuje się filmy w ciągu 40 dni. „Najczęstszym jednak pragnieniem naszym — pisze dalej Bérthomieu — będzie produkowanie filmów kasowych w sposób możliwie jak najstarszy i najbardziej artystyczny”. Czyżby i Film Polski? Żyłł to samo pragnienie, za wysiłki te książeczka dla adeptów sztuki filmowej?

I gdy Bérthomieu pyta w ostatnim zdaniu, czy jednak nieprawdopodobieństwem jest wiara w nadzieje epoki Mecenatów? czytelnik ma prawo zapytać: czy rzeczywistość nie została była wyjęta innej książeczki po za tą bezwartościową broszurą napisaną w r. 1945? Marzy do dyspozycji wspaniałą litera-

W przekładzie źle przetłumaczono: studium nie rości sobie praw do przedstawienia podstawowych praw i kanonów sztuki kinematograficznej

JOZEF GRABOWSKI

Ludowość nowych odmian tkactwa dekoracyjnego

W Białostoczczyźnie i na Podhalu pod impulsem, wychodzącym od inteligentów pod ich kontrolą, ingerencją i w oparciu o ich koncepcje artystyczne rodzi się nowe tkactwo dekoracyjne, wy-

tworzone przez miejscową ludność, która coraz silniej adoptuje sobie inteligentkie pomysły, przetwarzając je po swojemu i nagina do swych pojęć artystycznych, dając początek nowej odmianie sztuki, na razie o pewnym zacięciu stylu ludowego. Piszę na razie, gdyż proces ten nie przebiega po linii klasycznej dla tworzenia się nowych odmian czy działów sztuki ludowej. Ikaż ludowi z Białostoczczyzny i Podhala nie korzystają bowiem z pomysłów inteligentów dla własnych potrzeb, które decydowały dawniej o zmianie stylu wchłanianych obcych elementów — lecz pracują wyłącznie niemal na rzecz konsumenta inteligentkiego. Stąd współdziałanie ludności wsi jako zespołu jest w nowym procesie twórczym ograniczone. Pojedyncze zaś tkaczki, biorące w nim udział, znajdują się pod przemożnym wpływem swych przewodników inteligentów i nie mogą się od nich oddzielić, nie znajdując dogodnego dla swych koncepcji zaplecza w postaci znośnej opinii artystycznej środowiska, do którego przynależą. Dlatego też nie można wiedzieć, jaka będzie przy-

więc zamiast stałego współdziałania, początek dywanu powstawał pod dyktando technicznym Plutyńskiej, a dalsze jego wykonanie kontynuowane było bez jej udziału. Nowy dywan sokolski narodził się. Za Jaroszewiczem poszły na współpracę z Plutyńską niektóre tkaczki, przekonane pięknymi dywanami, podjęte możliwościami zarobku i znajdujące w pracy twórczej pełnię artystycznego przeżycia.

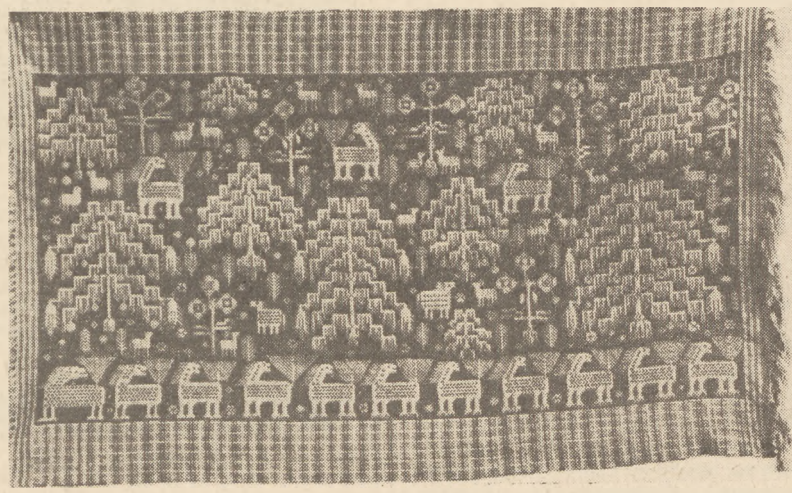
Typ nowego dywanu wrósł w grunt. Co prawda tylko jednostronnie, bo nie przyjęła go chata do swego użytku. Pozostała w niej po dawnemu „kapa”. Jednak rozpoczęła się szersza produkcja nowego dywanu na zbyt „podopieczni” Eleonory Plutyńskiej, zachęceni przez nią, puszczając się na wody własnych pomysłów, będących, jak dotąd, tylko pewną indywidualną interpretacją stylu, powstałego pod wpływem mistrzyni. Nie mniej jednak już obecnie zarysowuje się dość wyraźna granica między dywanami, powstałymi pod bezpośrednim nadzorem Plutyńskiej (ryc. 1), a wytworzonymi bez jej udziału (ryc. 2). Styl tych dywanów dwójli się od początku. Tkaniny Plutyńskiej cechuje miękkość linii i kolorystyka. Motywy ornamentacyjne i tło zlewają się. Kompozycja jest bardziej spokojna i umiarkowana. Ilość elementów dekoracyjnych występujących w jednym dywanie niewielka. Dywany powstałe bez Plutyńskiej, nazywamy je „ludowymi”, są bogatsze w szczegóły, wyrazistsze w ostrym kontu-

nie istnieją więc dwa wyjścia: przejście nowych dywanów sokolskich w kulturę ludową, albo dalsza ścisła współpraca tkaczek ludowych z artystami miejskimi, trwająca aż do czasu zniwelowania



ryc. 1

rowane przez miejscową ludność, która coraz silniej adoptuje sobie inteligentkie pomysły, przetwarzając je po swojemu i nagina do swych pojęć artystycznych, dając początek nowej odmianie sztuki, na razie o pewnym zacięciu stylu ludowego. Piszę na razie, gdyż proces ten nie przebiega po linii klasycznej dla tworzenia się nowych odmian czy działów sztuki ludowej. Ikaż ludowi z Białostoczczyzny i Podhala nie korzystają bowiem z pomysłów inteligentów dla własnych potrzeb, które decydowały dawniej o zmianie stylu wchłanianych obcych elementów — lecz pracują wyłącznie niemal na rzecz konsumenta inteligentkiego. Stąd współdziałanie ludności wsi jako zespołu jest w nowym procesie twórczym ograniczone. Pojedyncze zaś tkaczki, biorące w nim udział, znajdują się pod przemożnym wpływem swych przewodników inteligentów i nie mogą się od nich oddzielić, nie znajdując dogodnego dla swych koncepcji zaplecza w postaci znośnej opinii artystycznej środowiska, do którego przynależą. Dlatego też nie można wiedzieć, jaka będzie przy-

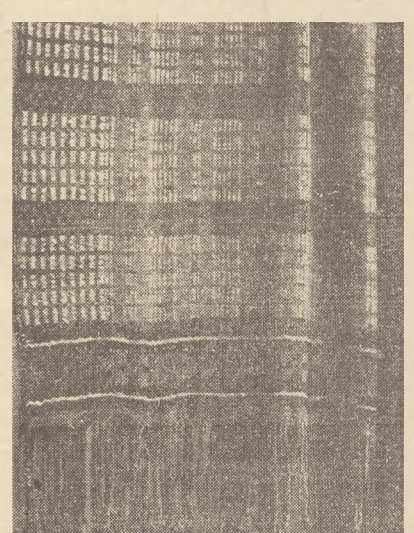


ryc. 4

pięro męczyzna, dorywczo i ubocznie zajmujący się wyrobem dywanów: Adolf Jaroszewicz. Od współpracy Plutyńskiej

rze, twardsze w barwie i wykazują tendencję do wzmoczenia treści ikonograficznej. Dwoistość stylu nowych dywanów sokolskich mówi wyraźnie, że twórca ludowy widzi inaczej piękno, niż inteligent, ale też dowodzi, że istnieje platforma wspólnego porozumienia się, na której mogą oni współdziałać, oraz zbliżyć się do siebie.

Tak jest obecnie. Jakie są perspektywy na przyszłość? Ila zaley przed wszystkim od tego, czy wiesz przyjmie dywany typu wytworzonego przez Plutyńską do swego użytku, czy też nadal będzie je wyrabiała wyłącznie dla miasta. W pierwszym wypadku rozwinięcie się obecnej odmiany „ludowej” do pełnego stylu ludowego jest bardzo prawdopodobne, zwłaszcza wobec pełnego rozkwitu białostockiego dekoracyjnego tkactwa ludowego, który pokazała wymieniona wystawa. Możliwość wejścia na tę drogę sygnalizują pojedyncze wypadki tkania dla siebie dywanów już wedle wzorów dawnych, a nie kapowych. Gdyby jednak typ nowego dywanu sokolskiego nie przyjął się w przyszłości na wsi, grozi mu zagłada lub dekadencja od momentu przewartościowania opieki artystycznej. Z sytuacji obec-



ryc. 6

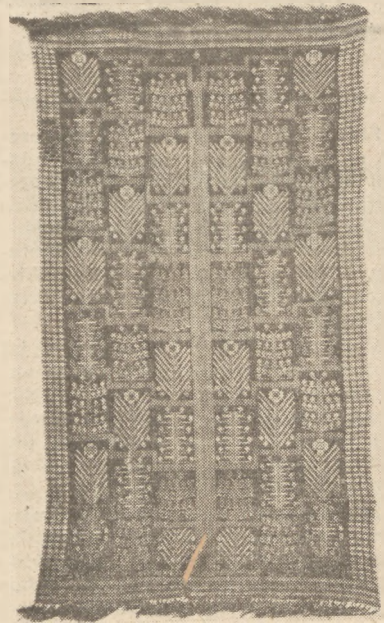
przez życie różnic między kulturą artystyczną wsi i miasta.

Nieco odmiennie kształtuje się sprawa tkanin dekoracyjnych, powstałych pod wpływem projektów Krystyny Szczepanowskiej i produkowanych obecnie przy pomocy tkaczek wiejskich przez „Samopomoc Chłopską” w Zakopanem. Eksperyment ten jest tym ciekawszy, że powstał w terenie pozabawionym tradycji tego rodzaju wyrobu, oraz że tkaczkom pozostawiono wolną rękę w komponowaniu wzorów, ograniczając je natomiast w wyborze kolorów, przez dostarczenie ustalonych zespołów barwnych przędzy. Projekty Szczepanowskiej (ryc. 5 i 6) — na których wzorują się tkaczki, mimo zostawionej im swobody komponowania — zadržają mocno o styl ludowy, chociaż nie można wykazać ich bezpośrednich ludowych wzorów. Podstawą ich jest układ pasów, zbudowany z elementów drobnych, czworobocznych, charakterystycznych dla północy Polski. Skala barwna z dominantą rdzy, czerwieni i czerni różni się natomiast wybitnie w tonie od tkanin z Mazurów, Kurpiów czy Białostoczczyzny. Rozmaitość wytworów poszczególnych tkaczek jest dużo większa niż wśród dywanów sokolskich, przeciętny poziom artystyczny natomiast — niższy. Różnica między wzorami Szczepanowskiej a wytworami tkaczek nie polega już na jakościach stylowych — jak w dywanach białostockich — ale po prostu na niższym poziomie, gdyż wykonawcy nie posiadają jeszcze wyrobionego smaku, wyrosłego na tradycji. Ich kultura artystyczna dopiero się tworzy.

O przyszłości nowych tkanin podhalańskich, oraz o ich ludowości, zdają się te same czynniki, które wymieniliśmy przy rozpatrywaniu dywanów sokolskich.

W Zakopanem istnieje jeszcze ewentualność wejścia nowopowstałej tkaniny dekoracyjnej na śliską drogę wyrobu, przeznaczonego wyłącznie dla letnika, która doprowadziła obecnie do zaśmiecenia sklepów na Krupówkach figurkami dzieł z zadartą spódnicą i tym podobnymi „artystycznymi koncepcjami”, uważanymi, niestety, przez ludzi bezkrytycznych za zakupiańską „sztukę ludową”.

Józef Grabowski



ryc. 2

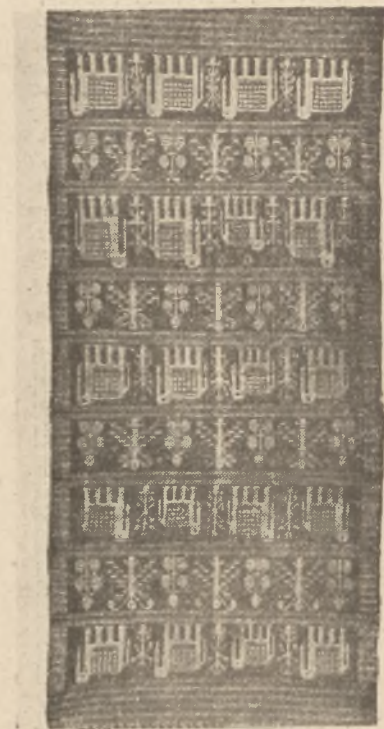


ryc. 5

szłość i fizjonomia tkanin, wyrosłych z gruntu obcego i nabierających obecnie pewnych rumieńców stylu ludowego.

z Jaroszewiczem rozpoczął się proces regeneracji dawnych dywanów, porzuconych i niemal zapomnianych. Wrocono tylko do walorów techniki ręcznej, odpowiednio przygotowanego surowca i używania barwników roślinnych, nie powrócono natomiast do dawnych wzorów, które zaginęły już w pamięci, a tym bardziej trudne były do odnalezienia nawet wśród porzuconych rupiec. Wzory te zastąpiły początkowo koncepcje Eleonory Plutyńskiej, uzupełnione następnie motywami zwierzęcymi, zaczerpniętymi z dawnych dywanów strzyżonego kaukaskiego, a po tym fragmentami odnalezionych resztek autentycznych dywanów sokolskich i mazurskich (podobno reprodukcjami dawnych dywanów szwedzkich). Czerpiąc z tych źródeł kreśliła Plutyńska pomysły dywanu w koncepcji słownej, wersję tkacką pomysłu dawał Jaroszewicz, interpretując w szczegółach, na warsztacie ogólny projekt kompozycyjny. Tak powstał typ kompozycji o centralnej osi pionowej: drzewka, powtarzające się dotąd w różnych wariacjach. (ryc. 1).

Podobnie utworzył się schemat rytmiczny, pasami, powtarzających się zwierząt egzotycznych, poprzedzielanych gałązkami kwiatowymi (ryc. 3). We współpracy tkacza z mistrzynią rozwinął się pomysł „lasu”, będący syntezą wszystkich niemal motywów, wprowadzanych przez Plutyńską, wzbogaconych nadto kolekcją zwierząt domowych i leśnych (rys. 4). Współpraca ta jednak zmieniła już swój charakter: tkacz poznał zasady komponowania, artystka możliwości warsztatu i techniki. Czysto



ryc. 3

Następstwa eksperymentów Eleonory Plutyńskiej w powiecie sokolskim, oraz Krystyny Szczepanowskiej w Zakopa-

CAMERA OBSCURA CO TYDZIEŃ NAGRODY 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek, i innych wydawnictw, z usługami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 16, Dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepsze rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości 2000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 2.000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. M. A. za wycinek z „Przekroju”.

Ogłi żyją krótko

W numerze 220 „Przekroju” ukazał się artykuł Leopolda Tyrmanda „O faszeryowanych susiach”, podpisany dwukrotnie pełnym imieniem i nazwiskiem wspomnianego Tyrmanda. W tym okolicznościowym artykule tylko 66 wierszy (słownie: sześćdziesiąt sześć) jest piora podpisanego, co od razu zresztą widac. Reszta, nieco przestawiona i odważnie poprzeręcana — pochodzi z „Leader Magazine” z 3.XI. 1948 r. Nikt oczywiście nie żąda, by anegdota o kucharach i żarłokach tworzył Tyrmand z niczego tzn. z głowy, ale pewna właściwość ludzkiego charakteru, powszechnie zwana uczciwością, wymaga, by tłumacz podawał źródło i to, że tłumaczy. Doczepione natomiast frazesy w rodzaju owej filozofii, jaką zwykli nas zabawiać fryzjerzy podczas golenia, są bezwzględnie oryginalne.

A oto jedna z próbek Tyrmandowego warsztatu pracy: W „Przekroju” (tłumaczył Tyrmand): „Mistrzowie sztuki kucharskiej od najdawniejszych czasów używali stawy, bogactw i zaszczytów. Ostatni król Assyrii, Sardanapal zapłacił izraelskiemu kucharzowi 1000 sztuk złota za nową, nieznaną mu potrawę. Henryk VIII darował zamek wynalazcy nowego sosu puddingu, zaś Henryk IV, król Francji, uszlachcił swego ulubionego pasztecjarza...”

W „Leader Magazine” (tłumaczył Artur Sandauer): „Mistrzowie sztuki kucharskiej od najdawniejszych czasów używali bogactw i zaszczytów. Henryk VIII darował zamek wynalazcy nowego sosu do puddingu. Ostatni król Assyrii, Sardanapal płacił kucharzom (dlaczego tylko jednemu i to izraelskiemu, Leopoldzie?) po 1.000 sztuk za nową potrawę. Henryk IV, król Francji uszlachcił swego głównego (dlaczego ulubionego, Leopoldzie?) kucharza...”

I tą metodą twórczą — cztery piąte „artykułu”. Ob. Leopold jest ponoć autorem „essayu”: „Otyli żyją krótko...”. — Otyli plagiatyż żyją jeszcze krócej...

Wycięg prasy

Z Anglii otrzymaliśmy od nieznanego nam bliżej sympatyka propekt wydawcy „Michael Hervey, 26, Hampton Gardens, Prittlewell, Essex”, reklamujący nowości książkowe w języku angielskim. Od razu widac, że na odcinku wydawnictw i prasy (wymienione książki drukowane są także w 112 czasopiśmie brytyjskich) toczy się ta sama walka, co w każdej innej dziedzinie. Przypomina to nieco ową anegdotę o dwóch ludziach, którzy wzajemnie obdarzają się prezentami, stopniując wielkość i ciężar przedmiotów, każdy, oczywiście, według swego gustu. My w nich — Trasą W-Z, oni w nas — „cudem lubelskim”, my w nich — wydaniem arcydzieł literatury polskiej i światowej, oni w nas kolekcją pana Michaela Hervey. Wcale nie trzeba znać angielskiego, by od razu zrozumieć różnicę między dwoma światami.

W poprzednim 31 (244) numerze „Odrodzenia”: Janusz Bogucki: Refleksje pojazdowe na temat polityki; Tadeusz Borowski: Działalność; Santiago de Compostela — Włodzimierz Słobodnik: Do Lit-Taj-Pe. — George Chandes Bidwell: Rozwój i upadek prasy brytyjskiej. — Marian Brandys: Rodzina C. — Przemówienia z okazji wręczenia nagrody literackiej „Odrodzenia” Jarosław Iwaszkiewicz; Paweł Hertz; Mieczysław Jasstrun. — Stanisław Jankowski: Od kanałów Starobłoty do Trasy WZ. — Sztuka dla dzieci i młodzieży: Irena Skwronkówna: Dzielne drogi oddziaływania książki na dziecko; Kazimiera Jeżewska: O burakach można różnie...; Książki nadesłane. — Jerzy Broszkiewicz: Kształt miłości. — Książki: Erwin Sonecka: „Filiponka”. — Korespondencja: Władysław Blachut: Czy Ditta mówiła p. Vang po imieniu? — Juliusz Nowak - Dłużewski: W sprawie „Marsylianki”. — Kronika radziecka. — Mimoходом: W. N.: Szkoła życia. — Kramik bukminasty: Wacław Zawadzki: O strojach Mistrza Brühla; Biskup Malinowski i Bufcio piesek starościnny Malogórkę; Piśń o Bufciu; Instygalor Falkowski. — Fraszki: Wiesław Brudziński: „Exegi monumentum surrealisty”; Sława: Aforyzmy. — Film: Bohdan Węsierski: Kukielki na ekranach. — Camera obscura. — 26 ilustracji — 8 stron.

FRASZKI

STANISŁAW JERZY LEC

O SATYRYKACH-SKORUPIAKACH

Tak rzekł Adam Mickiewicz: „Nasz naród jak lawa Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa. Lecz wewnętrzznego ognia sto lat nie wyziębi Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi”.

Lecz satyrytyk niebawem wziął wieszczą pod lupę i rzekł: „Dziś czas specostwa, każdy ma swą grupę — Wy zstępujcie do głębi — ja plwam na skorupę”.

JAN CZARNY

SATYRYKOWI X. Y. Z.

Podziw i zachwyt mój najszczerzy
Budzi talentu twego magia;
Małknie wprawdzie piszesz wiersze
Lecz każdy z nich to wielki plagiat.

Redakcja i Administracja Klubu „Odrodzenia” zawiadamia uprzednio Członków Klubu, że w ciągu sierpnia otrzymają oni następujące pisma: Michała Szolochowa — „Zorany ugór” oraz Anny Seghers — „Umarli pozostają młodzi”. W ten sposób wyrobione zostaną ostatecznie zaległości w dostawie książek klubowych.